Wpisano do kontroli
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 26. VII 1968

Dziś w numerze: Szansa dla młodego turysty • Wesołe życie marynarza • Twórcy • Zuzanna i starzec • The Harnam Dance of Poland • Felietony • Recenzje

odgłosy

30 (559)
28. VII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

FELIKS BĄBOL

SEKRETARZ

(REPORTAŻ
NAGRODZONY NA KONKURSIE „ODGŁOSÓW")

U nas wszystko liczy się na kilometry — ciepło, woda, kanalizacja. Budujemy na nowych osiedlach ciągi ciepłownicze, magistrale wodne, kanały. Taki Teofilów np., Wielkopolskę B i Dąbrowę poprzecinamy w tym roku 109 kilometrami rur. Gdy to skończymy przyjdą do osiedli ludzie i rozpocznie się mała stabilizacja. Przez dwadzieścia kilka lat powojennych naciułali ludzie na meble, motocykle, niektórzy nawet na syreny, ale najgłośniej małą stabilizację objawiają psy. Pełno ich w każdym nowym bloku, znacznie więcej niż rowerów i motocykli czy samochodów.

Zakładamy te wszystkie ciągi w nowych domach, by ludzie nie mówili, że nie mieszkają nowocześnie. I nie mówią, ale mnie czasem cholera trzesie, że wielu z tych nurzających się w wygodach nie zdaje sobie sprawy, że to wszystko doskonałe, postępowe technicznie i nowoczesne mieszka w nowych domach tuż obok zacofania i prymitywu. Że mimo pozorów stworzonych przez stabilizację małą czy dużą tyle jeszcze wypadałoby zrobić, nie w zakresie architektury wnętrz, ale wewnętrznej struktury człowieka. I że stabilizacja jest fikcją pokrywająca tereny jeszcze czasem prawie nie tknięte...

Jest nas tysiąc — tych budujących kanały, wodociągi i sieci ciepłownicze. Realizujemy świetne plany techniczne, stosujemy nową technologię, nawet przed terminem wykonujemy czasem to lub owo, a przecież świadomości i u budowniczych jeszcze nie za dużo. Pracujemy wśród ugorów. Niekiedy wydaje się, że czas stanął w miejscu, że do wielu ludzi przez te dwadzieścia kilka lat nie dopłynął jeszcze prawdziwy nurt życia. Ci ludzie nawet gazet pewnie nie czytają, a jeśli — to tylko tytuły. Że tylko tytuły, wiem po tym jak mówią. Towarzyszu — zagaduje mnie jeden — kiedy u nas wreszcie będzie pełna mobilizacja sił? Przedsiębiorstwo ma poślizgi a tu nikt nie myśli o rezerwach... Mówię mu więc, żeby się odczepił i zobaczył najpierw dlaczego Kukliński nie przyszedł rano do pracy przy rurach. Czy znowu się zapił?

Ale słowo „rezerwy" nie jest najgorsze. Pracujemy w zespołach, w których pachnie wieś podłódzka i małe miasteczka — Poddębice, Bełchatów, Łask — tylko co trzeci z naszych ludzi to łodziak. A z małych miasteczek, ze wsi nie płynie przecież to co najpilniej potrzebne w przedsiębiorstwie, pracującym zgodnie z nowoczesną organizacją pracy czy techniką. Bierzemy ludzi jak idą, bo wołają o nich plany, ale to fakt, że ze wsi i małych miasteczek przybywa do nas często zaledwie żądza dorobienia, zaledwie chciwość.

Czy potępiam tych wszystkich chłopo-robotników? Skądże! Jako sekretarz byłbym ostatnim, który by to uczynił. Ale z drugiej strony ci wszyscy, którzy do nas przychodzą ze wsi i w ogóle z prowincji to bardzo trudny element. Na bakier żyją z mieniem społecznym, nie wiedzą jak je uszanować. Podobają im się łopaty, które otrzymują do pracy na odcinku, ubrania robocze im się podobają. Więc te łopaty ciągle gdzieś gubią a ubrania zawożą na wieś albo na Bałucki Rynek i potem zjawiają się na budowie w swoich starych łachach oczekując na nowy przydział sortów. Ot, zwykła ograniczoność ludzkiej świadomości. Ale czy od razu trzeba tych ludzi wyrzucać za mordę?

* * *

Sekretarz nie nazywał rzeczy po imieniu, choć pewnie brała go chętka. Mówił tym samym językiem jakim perswadował i wypominał sprawcom kradzieży. Żeby nie urazić, nie stosuje słowa „kradzież" i „złodzieje" a tylko „brak poszanowania własności społecznej", „nierespektowanie norm współżycia" itp. Mówił językiem zebrań, wyszlifowanym przez lata walki. Właśnie, o co sekretarz walczy? W tym przedsiębiorstwie, gdzie jest sekretarzem i zastępcą dyrektora problem nie jest błahy. Dwa lata temu na ubrania robocze i narzędzia pracy wydano ze środków firmy, a więc z pieniędzy należących do nas wszystkich, po dwa i pół tysiąca złotych na jednego robotnika, w ubiegłym roku — już tysiąc więcej, a w bieżącym — suma ta wzrośnie z pewnością do ponad siedmiu tysięcy. Złodziejskiego łupu w postaci fufajek, szpadli i innych narzędzi księguje się w przedsiębiorstwie coraz więcej, bo coraz więcej zadań pilnych do wykonania, coraz trudniej o nowych ludzi do pracy, coraz szybsza rotacja kadr, więc i coraz więcej tych, których trzeba uczyć poszanowania mienia społecznego i współżycia w gromadzie. Trzeba tych ludzi uczyć dosłownie socjalizmu. Nie zaznali go pewnie jeszcze w swym przeżyciu — tkwi w ich mentalności na razie tylko jako mało znaczące słowo, hasło wyczytane z gazet czy zasłyszane na okazjonalnym zebraniu na wsi czy w miasteczku. Na co dzień socjalizmu jeszcze nie wypraktykowali.

Co innego sekretarz. Gdy z powodu tych kradzieży sprzętu, ubrań i narzędzi huczy w dyrekcji i radzie robotniczej, czuje, że to pod jego adresem. On sam zresztą przypomina, gdy trzeba, że ma duszę chłopską, że lepiej niż inni potrafi zrozumieć chłopo-robotników. Dlatego też może nie jest za tym, aby winnych wyrzucać bez ceregieli.

* * *

Wacław Tyburski przywędrował kiedyś ze wsi do Łodzi. Tutaj przybył poszukując swej młodości. Pierwsze jej lata zagubił pośród zagonów niewdzięcznej ziemi podzielonej na skrawki, trudnej do uprawy i nie dającej w zamian za pracę ponad siły żadnej nadziei na przetrwanie przednówka. Te skrawki ziemi w powiecie poddębickim były od dawna skazane na sierocy los, przeczuwał niedostatek własnego chleba i ojciec i brat Wacława, dorabiający wiejskim kołodziejstwem, więc i Wacek — kilkunastoletni chłopak wzrastał w atmosferze jakiegoś rozdarcia. Tu się urodził — myślał z goryczą — ale przecież tu nie chce umierać. Zresztą zaraz po wojnie podziałała i fascynacja dużym miastem. Przyciągało go całą siłą

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

Autobus wiozący śmierć

Był to sfatygowany już nieco autobus marki „Jelcz" jakich setki, jeżeli nie tysiące, uwija się na drogach całego kraju. Zarejestrowany w bazie PKS w Zamościu służył zazwyczaj do przewozu pasażerów i przez długie miesiące swojej służby przemierzył wszystkie zakątki Lubelszczyzny; pierwszego maja tego roku wiózł śmierć.

Wiózł tamtego dnia także pasażerów złączonych wspólnotą losu, którego szczęśliwie, bez żadnej z ich strony zasługi, udało im się uniknąć. Długi czas nawet nie wiedzieli o tym, a teraz spotkali się w sądzie. Jest to najbardziej reprezentacyjna sala rozpraw w całym Lublinie; proces też niecodzienny — tryb doraźny.

Wokanda już wywieszona: blisko trzydziestu świadków, pięciu biegłych. Stawili się prawie wszyscy. Pod nieobecność sądu aktywizuje się woźny.

— Przygotować bilety! — Wykrzykuje do świadków. — Zara będzie się wracać koszta podróży.

Ten krzyk rozładował nieco nastrój, ale atmosfera dalej napięta. Świadkowie zostali za drzwiami, na sali ludzie milczą, jak w kościele. Dopiero gdy wprowadzono Hałasę, ludzie ocknęli się na ławkach. Ale niewiele mogli dojrzeć. Oskarżony odwracał twarz i nawet potknął się wchodząc za barierkę. Nie szukał kontaktu wzrokowego z salą — miał przeciw sobie wszystkich, czuł to.

Jest młody, rocznik 1949. Tę jego młodość na wszelkie sposoby będą później próbowali wykorzystać obrońcy. Mecenas Drozd dźwiga swoje brzemię z urzędu. Wspiera go mecenas Krawczyński wybrany przez oskarżonego.

Potem Hałasa wstaje: mówi coś, ale nie słychać. Wychodzi ze swego miejsca, nic to nie pomaga. Więc sąd zarządza przerwę na zainstalowanie mikrofonów. Działają bez zarzutu. Ale Hałasa umie sobie radzić — chociaż otwiera usta, głośniki głucho milczą.

Przez chwilę trwa ta nienaturalna cisza. Może mikrofony wysiadły? Jeszcze jedna próba. Z głośnika ryknął głos i oskarżony drgnął, jakby przyłapano go na kłamstwie. Wtedy

Dalszy ciąg na str. 5

ŹE ŚWIATA

Okresowe spotkania przywódców partii i rządów, obok dwustronnych kontaktów, są już stałą formą wymiany poglądów i uzgodnień między krajami socjalistycznymi. I właśnie w dniach 14—15 bm. w Warszawie doszło do kolejnego takiego spotkania. Wzięły w nim udział najwyższe delegacje: Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR.

Komunikat opublikowany po rozmowach podaje ich tematykę: najważniejsze problemy sytuacji międzynarodowej — bezpieczeństwo europejskie, Wietnam i Bliski Wschód, aktywizacja sił imperialistycznych oraz wymiana informacji o swoich krajach, a także Czechosłowacji.

Uczestnicy spotkania skierowali wspólny list do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

List ten — jak podały agencje — był natychmiast przedmiotem zainteresowania Prezydium KC KP Czechosłowacji, które przygotowuje „staranną odpowiedź". Była ona przedmiotem obrad plenum.

Sprawa wspólnego skierowania listu wymaga kilkunastu słów komentarza.

Od kilku miesięcy trwa atak sił reakcyjnych przeciwko czechosłowackiej partii komunistycznej i socjalizmowi w tym kraju. Wspierane przez ośrodki imperialistycznej dywersji — siły te chcą obezwładnić partię, a kraj zepchnąć na drogę demokracji liberalno-burżuazyjnej.

Na niebezpieczeństwo to wskazało majowe plenarne posiedzenie KC KPCz — jednak atak sił antysocjalistycznych nie został pohamowany. Nasila się on w miarę zbliżania się terminu nadzwyczajnego zjazdu partii, ustalonego na 9 września. Jednym z przejawów tego ataku jest oświadczenie tzw. „2.000 słów", które odrzucone zostało przez Prezydium KC jako dokument antypartyjny, godzący w socjalistyczny ład.

Rzecz zdumiewająca, że te wrogie siły nie znajdują należytego odporu w środkach masowego oddziaływania, co dezorientuje część czechosłowackiej opinii publicznej.

Niepokoić może i to, że podnoszą się głosy o „neutralizacji" Czechosłowacji, a NRF chciałaby tam stworzyć swój przyczółek polityczny. Penetracji terenu dokonali ostatnio W. Scheel — przywódca FDP oraz K. Blessing — prezes Banku Federalnego NRF. Pierwszy z nich ośmielił się nawet zaatakować w Pradze Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Udzielenie zdecydowanego odporu imperialistycznym manewrom wokół Czechosłowacji leży w interesie krajów socjalistycznych. I tym podyktowany został wspólny list pięciu partii, którego tekst opublikowano.

W jednym z poprzednich komentarzy omawialiśmy radziecki program dalszego rozbrojenia jądrowego. W ubiegłym tygodniu projekt ten przedstawiony został Komitetowi Rozbrojeniowemu ONZ, który po czterech miesiącach przerwy wznowił obrady.

W orędziu do uczestników obrad sekretarz generalny NZ — U Thant zaapelował o skuteczne podjęcie prac, które otworzyłyby nowy rozdział rozbrojeniowy.

Jak słusznie przewidywaliśmy — z pakietu radzieckich propozycji Waszyngton zainteresował się głównie pohamowaniem zbrojeń rakietowych. Świadczy o tym list prez. Johnsona do „Komitetu 17", w którym wyraża on nadzieję na szybkie ustalenie z ZSRR miejsca i terminu tych rokowań.

Wznowienie obrad w środku lata, wkrótce po przedłożeniu radzieckiego programu napawa optymizmem, który oby nie był bezpodstawny!

We Francji sformowany został nowy rząd z Couve de Murvillem na czele. Couve de Murville był obok Malraux jedynym ministrem, należącym do wszystkich gaullistowskich rządów od 1958 roku. W historii Francji tylko minister Ludwika XVI — Vergennes pozostawał na stanowisku ministra spraw zagranicznych dłużej.

Takiemu to wytrawnemu politykowi powierzył de Gaulle kierownictwo rządu. Couve de Murville nie będzie miał łatwego zadania. Wysokie zwycięstwo wyborcze gaullistów niczego nie przesądziło, nie rozwiązało żadnego z wewnętrznych konfliktów Francji. Właśnie, kiedy uroczyście świętowano 14 lipca — 179 rocznicę zburzenia Bastylii, doszło w Paryżu do nowych wystąpień studentów, które powtórzyły się 16 bm.

Couve de Murville jako premier otwiera III etap V Republiki, który z pewnością będzie przebiegał pod hasłami prób rozwiązania zagadnień ekonomicznych i socjalnych. Z jakim powodzeniem — trudno przewidywać.

A co z Pompidou — zdymisjonowanym premierem? De Gaulle nie powierzając mu ponownie misji utworzenia rządu chciał zdaje się osiągnąć równocześnie dwa cele — po pierwsze: stworzyć wrażenie odnowy, po drugie: zarezerwować go... na swoje miejsce. Oczywiście w chwili, kiedy uzna za słuszne opuścić prezydencki fotel.

I jeszcze krótko o Iraku. Dokonano tam zamachu stanu, wydalając prez. Arifa z kraju. Przypomnijmy, że Arif objął władzę przed 25 miesiącami po tragicznej śmierci swego brata.

Zamachu dokonała grupa wojskowych, związana z międzyarabskim ruchem „Baas". Utworzono 26-osobowy rząd, w skład którego weszli przedstawiciele tego ugrupowania oraz nacjonaliści.

Na czele państwa stanął Ahmed Hassan Bakr. W chwili, kiedy zamyka się bieżący numer „Odgłosów" zbyt wcześnie, aby ocenić następstwa tego zamachu.

W. SŁAWSKI

ŁÓDZCY laureaci Nagród Państwowych

Nagrody państwowe, przyznawane corocznie najwybitniejszym twórcom i naukowcom kraju, stały się już tradycją Święta Odrodzenia Polski. Te wysokie wyróżnienia, które są żywym przykładem uznania Państwa Ludowego dla wkładu artystów, konstruktorów, wynalazców, badaczy, w dzieło budowy socjalizmu stanowią nie tylko ocenę ich pracy, ale są jednocześnie przeglądem najpoważniejszych osiągnięć w dziedzinie kultury, sztuki, nauki i myśli technicznej naszej ojczyzny.

Jak podały agencje prasowe, w bieżącym roku przyznano łącznie 43 nagrody, 18 indywidualnych i 25 zespołowych. Wśród laureatów nagród państwowych II stopnia znaleźli się przedstawiciele naszego miasta. I tak prezes Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, **Marian Piechal** otrzymał nagrodę za twórczość poetycką; w zakresie nauk biologicznych prof. dr **Bernard Zabłocki**, kierownik Katedry Mikrobiologii Uniwersytetu Łódzkiego; wreszcie w zakresie nauk matematyczno-fizycznych, chemicznych i nauki o ziemi to wysokie wyróżnienie otrzymał zespół naukowców z Politechniki Łódzkiej w składzie: prof. dr **Jan Michalski**, doc. dr **Marian Mikołajczyk** i doc. dr **Aleksander Ratajczak**.

Wszystkim laureatom składamy najserdeczniejsze gratulacje. A oto sylwetki łódzkich laureatów nagród państwowych.

MARIAN PIECHAL

Jego twórczość poetycka nierozerwalnie związana jest z Łodzią, której poświęcił najpiękniejsze i najlepsze swoje wiersze, aby mieć prawo do stwierdzenia:

„Łódź od śródmieścia
rośnie jak w drzewie
słój wokół słoja —
była Reymonta,
była Tuwima,
teraz jest moja!"

Już pierwszy tomik wierszy Piechala, wydany w roku 1929 „Krzyk z miasta", zarysował przyszłą drogę twórczą poety: Łódź będzie odtąd dla niego nieustannym źródłem inspiracji, aby znaleźć wreszcie swoje najpełniejsze artystycznie wcielenie w tomie „Miasto nadziei", który ukazał się w roku 1964. Jednocześnie poezja jego przeszła głęboką ewolucję: od fascynacji miastem, jego kolorytem i pejzażem po najgłębszą problematykę filozoficzną. I chyba nieprzypadkowo najnowsza książka Piechala, która jesienią ukaże się nakładem „Czytelnika" nosi tytuł „Być!", pierwszy, afirmujący człon słynnego hamletowskiego zawołania.

Bierze także Piechal żywy udział w życiu kulturalnym Łodzi, jest współorganizatorem ruchu poetyckiego w naszym mieście, od artystycznej grupy „Meteor" po ogólnopolskie festiwale poezji. Z jego inicjatywy powstał almanach literacki „Osnowa", którego jest naczelnym redaktorem; patronuje wielu pożytecznym akcjom łódzkiego oddziału ZLP i był „ojcem chrzestnym" Koła Młodych czy Klubu Młodych Krytyków.

Ostatnio Marian Piechal został powołany na zastępcę redaktora naczelnego miesięcznika „Poezja", co najprawdopodobniej będzie połączone z przeniesieniem się poety do Warszawy. Obiecuje jednak, że w dalszym ciągu będzie brał udział w życiu literackim Łodzi. Łodzi też poświęcił większą część autobiograficznej trylogii, nad którą właśnie pracuje. W tej prozie ma zamiar przedstawić dzieje własnej rodziny, od dziada — chłopa pańszczyźnianego poprzez ojca robotnika do syna inteligenta pracującego, pisarza.

PROF. DR BERNARD ZABŁOCKI

Blisko czterdzieści lat temu w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie, którym kierował prof. Ludwik Hirszfeld, rozpoczął Bernard Zabłocki swoją naukową działalność. Poświęcił się już wtedy mikrobiologii i immunologii. Lata wojny oderwały go od pracy naukowej — w Nowogródku, mieście rodzinnym, najpierw współpracuje z radziecką partyzantką, a od roku 1942 sam staje się leśnym. Jako lekarz w oddziale partyzanckim awansował do stopnia majora.

Wkrótce po ucieczce Niemców z Łodzi Bernard Zabłocki zostaje skierowany do naszego miasta. Jest nadzwyczajnym komisarzem do walki z epidemiami. I dopiero w następnym roku może podjąć przerwaną działalność naukową.

Na Uniwersytecie Łódzkim kieruje Katedrą Mikrobiologii stawiając ją w rzędzie pierwszych tego typu placówek w kraju. Dość powiedzieć, że przeprowadzono w niej 32 przewody doktorskie, a pięciu pracowników naukowych uzyskało stopień docenta. Tej aktywności naukowej i dydaktycznej profesora towarzyszy szeroka działalność wydawnicza: po wojnie napisał pięć podręczników i sześć skryptów wysoko cenionych przez specjalistów. Ostatnio „Postępy Mikrobiologii" zamieściły w 3 zeszycie z r. 1967 pracę prof. Zabłockiego pt. „Współczesne tendencje rozwojowe immunologii", w której przedstawił najnowsze osiągnięcia tej znajdującej się w nieustannym rozwoju dziedziny nauki.

Przez blisko dwanaście lat wraz ze swymi współpracownikami badał prof. Zabłocki procesy odpornościowe organizmu. Teraz za wyniki prac nad rolą autoimmunizacji i naturą czynnika reumatoidalnego otrzymał wysokie wyróżnienie — nagrodę państwową.

Prof. dr JAN MICHALSKI doc. dr ALEKSANDER RATAJCZAK i doc. dr MARIAN MIKOŁAJCZYK

Zespół naukowców z Politechniki Łódzkiej otrzymał nagrodę państwową za osiągnięcia w dziedzinie stereochemii optycznie czynnych organicznych związków fosforu. Wyjaśnienie tego terminu wymagałoby całej rozprawki — najogólniej można powiedzieć, że zespół kierowany przez prof. Michalskiego pracował nad pełniejszym wyjaśnieniem aktywności biologicznej fosforu, a więc pierwiastka odgrywającego ogromną rolę w procesach życiowych. Badania prowadzone były w Zakładzie Związków Heteroorganicznych Politechniki Łódzkiej. Warto dodać, o czym doniosła już zresztą prasa, że doc. dr Marian Mikołajczyk, jest uczniem prof. Michalskiego.

(kf)

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Ibis — ptak ponury z „Życia Warszawy" chwali prof. Mierzejewską za reżyserię opolskiego koncertu zespołów amatorskich. Ale Ibis idzie dalej i pisze, że prof. Mierzejewskiej należy powierzyć reżyserię całego festiwalu, ponieważ „reżyseria widowiska, w którym bierze udział kilkaset osób, wymaga doświadczenia, energii, wyobraźni i autorytetu", Ibis błysnął tu iście stołeczną elegancją. W myśl reguł tej gry chwalić należy nie za coś, lecz przeciw komuś. Tym razem pochwała wymierzona jest przeciwko dotychczasowemu reżyserowi festiwalu. Dlaczego? Czy naprawdę brak mu „doświadczenia, energii, wyobraźni i autorytetu"? Nic podobnego. Po prostu Janusz Rzeszewski nie jest z Warszawy. A przecież już pieśń masowa głosi, że „Nad Wisłą wstaje warszawski dzień".

WTOREK

„Kawiarnie — kuźnią intelektu" — ten slogan ukuł bodajże Boy-mędrzec i w swoim czasie hasło miało na pewno pokrycie. Dziś kawiarń mamy sporo — czy jednak o „kuźni intelektu" może być mowa? W pięknie zaprojektowanym, a okropnie zagospodarowanym „Rarytasie" uwili sobie gniazdko piwosze, zamiast lodów bakaliowych podają rozmrożoną papkę z pływającym 1 (słownie jednym) rodzynkiem... W takich warunkach można tylko psioczyć na gastronomię, a nie prowadzić intelektualne dysputy. Powie ktoś — „skąd kawiarnie do notatnika kulturalnego", a jednak... Przed laty byłem instruktorem k.o. i do moich obowiązków należała obsługa szatni na wieczorkach tanecznych, ponieważ kierownik klubu twierdził, że szatnia to też działalność kulturalna. Dziś myślę, że to wcale nie było takie głupie.

ŚRODA

Dajemy Anglikom widowiskowo w kość. To teatr lalek, to zespół „Harnama" — mało, że odbywamy tam artystyczne tournée, ale w dodatku z powodzeniem. „Harnam", który właśnie z Albionu wrócił, zachwycił chłodnych Anglików przede wszystkim rzewnym kujawiakiem i junackimi tańcami z Podhala. Cztery dni koncertowali łódzcy artyści w Llangolen i San Helen w ramach Międzynarodowego Festiwalu Pieśni, Muzyki i Tańca. Koncert łódzkiego zespołu transmitowała brytyjska telewizja, był zachwyt widowni (także polonijnej), były entuzjastyczne recenzje. Ale jest jeszcze druga prawda, wstydliwie przemilczana, prawda o tym, że ambasadorzy polskiego folkloru podróżują za granicą w warunkach gorzej niż opłakanych. W drugiej połowie XX wieku do Anglii „harnamowcy" podróżowali 3 dni — na 4 dni występów mieli 6 dni podróży. Bez możliwości odpoczynku, bez załadowanego hotelu, który musieli opuścić kilkanaście godzin wcześniej niż zaplanowano. Gdyby zdarzyło się to dobrze wynagradzanym sportowym „amatorom" — cała prasa ubolewałaby nad „naszymi chłopcami". Ponieważ zdarzyło się to autentycznym amatorom-artystom — wstydliwie milczymy: „W tej kulturze to coś tam nie gra" — jak ktoś kiedyś powiedział.

CZWARTEK

Ale siurpryza! Filharmonia Łódzka contra jedynemu w Łodzi krytykowi muzycznemu Annie Dolewskiej! „Do wszystkich możliwych instancji partyjnych i bezpartyjnych — pisze Jerzy Waldorff w „Świecie" — składane były petycje, w których twierdziło się, że Anna Dolewska ujemnymi recenzjami niszczyła frekwencję słuchaczy, źle wpływała na psychikę muzyków...". Czy to możliwe na tym najpiękniejszym ze światów? Artysta krytykowany przez fachowego krytyka odwołuje się do władz o... odwołanie krytyka? Ja to raczej między bajki włożę. Waldorff swoim zwyczajem pewno przesadził. Zwłaszcza, że Anna Dolewska (od 8 lat recenzent muzyczny „Głosu Robotniczego") ma za sobą i Wydział Teorii PWSM i nagrody za prace krytyczne. Jak pisze Waldorff zarzucono A. Dolewskiej... kompletny brak fachowości. Ani chybi ktoś tu strzelił kosmiczną gaffę. Albo Waldorff, albo Filharmonia.

PIĄTEK

Stary, łódzki księgarz, Ludwik Fiszer, pisze w swoich wspomnieniach, że po praktyce w Anglii w roku 1910 wprowadził w księgarni wzorem Brytyjczyków... samoobsługę. „Nie udało mi się to jednak — dodaje smętnie — klienci kradli książki, korzystając ze zbyt wielkiej okazji". Eksperyment Fiszera powtórzono w Łodzi po prawie 60 latach — w księgarni przy ul. Piotrkowskiej 86. Po miesiącu samoobsługi zarządzono remanent — czekałem z niecierpliwością na wynik — powtórzy się niepowodzenie Fiszera czy nie powtórzy? I wreszcie głos dyrektora Bartoszewskiego w słuchawce telefonu: „Łódzcy klienci Domu Książki zdali egzamin uczciwości". Na przeciętny miesięczny obrót tej wielkiej księgarni, rzędu 350 tys. zł — manko wyniosło... dwieście kilkadziesiąt złotych! Jakaż to miła świadomość, że jesteśmy uczciwi.

SOBOTA

Pisałem niedawno, że studenci wybierają się na obozy naukowe. Wyjechali — minęło czasu mało-wiele i w iście sprinterskim tempie odkryli od razu w lesie pod Osjakowem kurhan z okresu kultury łużyckiej. Kurhan to po prostu mogiła, ale dla badania przeszłości bardzo istotna, bo przecież nasi przodkowie odchodzili z tego świata wyposażeni obficie w brązowe ozdoby, broń — sztylety, miecze — oraz w ceramikę. Każdy odkryty kurhan jest więc najczęściej swego rodzaju muzeum kultury materialnej. A więc sukces studentów i opiekującego się nimi dr H. Widlaka — bezsporny.

NIEDZIELA

W Łodzi nazwa „Tivoli" kojarzy się po prostu z knajpą i możemy tylko wzdychać do czegoś w rodzaju prawdziwej kopenhaskiej „Tivoli" — czyli „ogrodu starych pamiątek i młodych snów". Ta prawdziwa „Tivoli" to mieszanina skansenu i lunaparku — coś w rodzaju disneylandu i wesołego miasteczka. Coś takiego ma powstać w Łodzi na Zdrowiu. Jest to, o ile pamiętam, już któraś z kolei lokalizacja. Ale może ostatnia i ostateczna. Łódzki lunapark kosztować ma ok. 30 mln zł — będzie tu i cyrk i gokarty, „diabelskie młyny" i karuzele, kolejki górskie, strzelnice... Słowem raj dla dzieci od lat pięciu do pięćdziesięciu.

JERZY WIDOK

SEKRETARZ

Dalszy ciąg ze str. 1

odradzające się miejskie fabryczne życie. U ojca liznął nieco stolarki, starszy brat pokazał mu jak obchodzić się z heblem, to i w tej fabryce bawełnianej, do której trafił na Piotrkowską, jako załącznik do tego co mówił pokazał hebel. Przyjęli go zaraz, bo ludzi wszędzie wtedy brakowało, poszukał sobie kąta do spania. Ale stolarzowi w bawełnianej fabryce nie tak dobrze — i zarobił niewiele i naobijał się za wszystkie czasy. A tu jednocześnie porywało go życie, bardziej bystre, bardziej urozmaicone — takie jakie sobie wymarzył owej ostatniej nocy na wsi.

Na Wierzbowej, gdzie zaczepił się następnie w przedsiębiorstwie budowlanym, po raz pierwszy w życiu zetknął się z organizacją i podziałem pracy, z tym co potem nazywał kolektywem. Tutaj opanowała go atmosfera nauki, piecia się wzwyż, tutaj poczęły utrwalać się w nim pierwsze wielkie ambicje. Na razie dużo czytał, przyglądał się ludziom, nasłuchiwał. Jakiś instynkt kazał mu odróżniać rzeczy dobre i konstruktywne od bzdur i bałaganiarstwa. Został pracownikiem umysłowym i chodził jakiś czas dumny jak paw z tego pierwszego w swym życiu awansu. Zarabia coraz więcej, ma teraz i na kino i na inne rozrywki, znalazł nawet czas, żeby się ożenić z dziewczyną od „Marchlewskiego", poznaną na jakiejś fabrycznej zabawie.

Zostaje wkrótce kierownikiem sekcji łączącej zbyt wiele naraz — sprawy socjalne, współzawodnictwo pracy i postęp techniczny — bo to było w owych latach, gdy za jednym zamachem starano się w fabrykach i przedsiębiorstwach załatwić jak największą ilość rzeczy słusznych i nowych. Wtedy to utrwala się w Tyburskim poczucie ważności, że on właśnie ma odpowiadać za te wszystkie mądre rzeczy. Utrwala się jednak na krótko. Bo oto dostrzega, że to znaczenie i ważność są pozorne, więc i setki podpisów, które składa na kwitach, papierkach i zestawieniach, poczynają go niepokoić. — Kiedyś przyjdzie pewnie mi za to siedzieć — myśli. — Bo nie zawsze wiedział, co podpisuje, a tu przedsiębiorstwo duże, sumy poważne, decyzje nieraz doniosłe jak na dwudziestolatka. Rośnie w nim lęk wynikający z przeświadczenia o własnych niedostatkach wiedzy. Psychologia nazywa takie okresy okresami sprzyjającymi nerwicom i stressom, kiedy między zadaniami a poczuciem własnej wartości rodzi się uświadamiany konflikt.

Otrząsnął się więc z owych pozorów ważności związanej z funkcją i postanowił się uczyć. Przybył do Łodzi, aby odzyskać swą zagubioną na wsi młodość, a teraz stwierdza, że do pełnego smaku młodości potrzebna jest gorzka sól wyrzeczeń, potrzebna jest praca i wysiłek na jakie tylko stać człowieka. Pachniały mu w owym czasie spacery z młodą żoną, kino i kawiarnie łódzkie, ale przecież znalazł w sobie energię, która się temu oparła. Technikum, w którym uczy się w godzinach wolnych od pracy, kończy po trzech latach z wyróżnieniem. Zmienia też pracę — jest teraz dyspozytorem działu wykonawstwa. W poprzednim przedsiębiorstwie kierownictwo, administracja, partia z uwagą śledziły drogę życiową tego chłopa-robotnika, posyłano go nawet na kurs dla wykładowców szkolenia politycznego, towarzysze wybrali do egzekutywy podstawowej organizacji. Teraz — na nowym miejscu — w przedsiębiorstwie instalacyjnym przebija się od początku przez etapy osamotnienia i izolacji, o co tak nieraz łatwo w dużym zakładzie pracy. Ale i tu wkrótce znajduje sojuszników. Wiele to kosztuje go wyrzeczeń i samozaparcia, bo najtrudniej o sympatię i przyjaźń, gdy nie mają preludiów opartych o wódkę i tak zwane życie towarzyskie, gdy rzecz trzeba rozgrywać jedynie na płaszczyźnie stosunku do pracy, jedynie w sferze wartości zawodowych i moralnych.

* * *

— Uczysz się i uczysz i co z tego — pytano mnie w owym czasie — i na ćwiartkę nawet nie masz ochoty. — Ano nie mam, na wsi nie zdążyłem się nauczyć picia, a tu z miejsca tyle roboty i odpowiedzialności. Nie smakowała mi wódka zresztą, bo nie chciałem należeć do żadnej z grup wytworzonych na gruncie stosunków utrwalonych przez bufet i wzajemną tolerancję wielu rzeczy, z którymi postanowiłem walczyć.

Już w tym czasie, gdy przygotowywałem się nocami do nauki na wieczorowym kursie inżynierskim Łódzkiej Politechniki, już wtedy przyszło mi stoczyć walkę. Nie mógłbym w niej wziąć udziału, gdybym należał do jakiejś grupy wódczanej. Postanowiono zwolnić kilku pracowników na stanowiskach kierowniczych na budowach, odcinkach robót, w administracji — i to pod zarzutem głównej winy za niepowodzenia produkcyjne i finansowe przedsiębiorstwa. Kto chciał ich wyrzucić z pracy? Ano była sobie grupka ludzi, którzy to ukartowali. Od początku wiedziałem, że ci waleczni nie mają racji, że oskarżeni są niewinni. Znałem już lepiej strukturę i cały mechanizm działania przedsiębiorstwa od wielu z tej grupy, wiedziałem co zrodziło klęskę. Więc publicznie powiedziałem co myślę, broniłem zwalnianych niesłusznie ludzi. — Zostawcie ich w spokoju — wołałem na zebraniu partyjnym. I uzasadniałem swoje stanowisko. Bo przyczyna niepowodzeń leżała poza kręgiem odpowiedzialności „oskarżonych". Leżała między hurra-planami produkcji a lekkomyślnością zjednoczenia, między niekompetencją zagrożonego kierownictwa przedsiębiorstwa a beztroską tych „u góry", którzy mawiali: „Niech na głowie stanie, a plan musi być wykonany".

Potępiłem wtedy ową radosną twórczość zwierzchników, bezmyślność ustalających księżycowe plany, zaatakowałem brak poczucia odpowiedzialności ze strony tych, którzy w naszym przedsiębiorstwie te plany akceptowali...

Zakrakano mnie na zebraniu — zbyt silna była, okazało się, grupa ludzi, którzy chcieli uratować swój autorytet. Udało im się wtedy, mimo wszystko, poświęcić kilku niewygodnych towarzyszy usuwając ich z przedsiębiorstwa..

Z goryczą mówił o tym Tyburski — teraz po latach — gdy ma za sobą najtrudniejszy okres swej dojrzałej młodości — studia na Politechnice, pracę zawodową wśród ustawicznych konfliktów i starć. Jako działacz rady robotniczej nieraz musi w swej argumentacji przechodzić od spraw codziennej praktyki i realizacji zadań produkcyjnych do teorii, jakże często, jego zdaniem, naginanej do potrzeb, fałszowanej czy wręcz obcej niektórym ludziom. Najwięcej nieporozumień rodzi sprawa poczucia współgospodarzenia w przedsiębiorstwie. Nie jest z tym poczuciem najlepiej. Załoga jednego z odcinków robót na przykład może śmiało przyspieszyć wykonanie swych zadań i przejść do zadań innych, dla których aktualnie nie ma pełnej obsady w ludziach, albo które nie zmieściły się w pierwotnym harmonogramie. Może, ale nie chce. Wystarczy jej własny sukces bez oglądania się na ogólną sytuację całości. Więc Tyburski walczy z tą zaściankowością niektórych kierowników robót, stara się unaocznić interes ogólny, ponadgrupowy. Boczą się nań, kosym okiem witają i żegnają kierownicy odcinków, bo ma za nic ich błyskotliwe sukcesy, bo żąda od każdego solidarności w działaniu z innymi kierownikami, bo walczy z sobiepaństwem i patrzeniem na koniec własnego nosa.

Wiele godzin trzeba strawić na perswazje i teoretyczne rozważania o wspólnym zaangażowaniu i wspólnej odpowiedzialności — na egzekutywie partyjnej i w samej radzie robotniczej. Szlag go trafia, gdy stwierdza opory w sprawach wydawałoby się oczywistych — na przykład pracy ciężkiego sprzętu na dwie zmiany a nie na jedną. — Te ciężkie maszyny — mówi — naprawdę kosztują ciężkie pieniądze, kosztują za wiele, aby można było sobie pozwolić na ich rdzewienie przez szesnaście godzin na dobę.

Bije się więc o stworzenie dwuzmianowych frontów robót z tym wartościowym sprzętem. Oblicza i prezentuje dane współgrające z tym o co wszyscy w przedsiębiorstwie powinni zabiegać w ciągu roku — z wynikami ekonomicznymi, z funduszem zakładowym, na który czekają nie tylko ci upłyniający zaskórniaki w pobliskich barach i knajpkach, ale i całe rodziny pracowników ledwo wiążące koniec z końcem.

* * *

Gdy Tyburski ukończył studia na budownictwie lądowym i zjawił się z dyplomem magistra inżyniera, tylko przez chwilę miał mgliste odczucie, że zakończył się w jego życiu jakiś główny etap. Tylko przez chwilę sądził, że oto znalazł się u kresu walki, cechującej młodego człowieka naszych czasów. Dziś — gdy rozmawiam z nim — czuje się ciągle jeszcze młody, bo — mówi — młodość kończy się wtedy, gdy już nie ma się o co bić. A tu u nas wiecznie jak na froncie.

Gdy go wybrano sekretarzem i mianowano zastępcą dyrektora, ten front bitewny jeszcze się rozszerzył. O świcie niemal, bo o siódmej rano, zaczyna się codzienna bitwa. Najpierw przy rozdziale zadań dziennych na poszczególnych odcinkach robót, potem o poczucie odpowiedzialności tych, którzy, jak się nieraz okazuje, nie sprawdzili kosztorysów, walka z bimbaniem ze strony innych, którzy na czas nie wykonali zadań.

Na spotkaniach tak zwanego operatywu sekretarz nieraz musi przechodzić od autorytetu zastępcy dyrektora do autorytetu partii — gdy chodzi o rytmiczność wykonywania planów, o zasadnicze spięcia między punktem widzenia wąskich grup zainteresowanych a ogólnym interesem załogi. Autorytetu partii nieraz trzeba użyć gdy chodzi o zdecydowane postulaty pod adresem władz zwierzchnich, gdy katastrofalnie zmniejszają się dostawy materiałów grożące klęską na dużych odcinkach robót. Jako sekretarz musi w ciągu dnia zarezerwować sobie wiele godzin na sprawy czysto ludzkie, osobiste sprawy partyjnych i bezpartyjnych. W ciągu tych godzin musi nie tylko wykładać zwykłym językiem codzienności i praktyki politykę partii, ale i interweniować w spółdzielni mieszkaniowej, aby człowiekowi obarczonemu liczną rodziną szybciej dała klucze do nowego mieszkania. Musi interweniować w sprawach będących wynikiem niechlujstwa tych co obliczają zarobki na budowach, w rezultacie czego ludzie nie dostają tego, co im się należy.

Ale w ciągu dnia trzeba też znaleźć czas na sądzenie ludzkich sumień, na ocenę stosunku partyjnych do samej partii. Przychodzi jeden z nich i pyta, dlaczego nie dostał premii w ubiegłym miesiącu. Sprawdzam — wspomina sekretarz — czy pracuje w akordzie czy nie, okazuje się, że w akordzie pracować nie chciał. Więc pytam, za co chcecie premię, u nas wypłaca się je za dobre wykonanie zadań w akordzie a nie za zwykłe dniówki. A poza tym — mówię — u was towarzyszu nie najlepiej z dyscypliną, nie przychodzicie czasem do pracy bez usprawiedliwienia, zaglądacie jak mi mówią nieraz do kieliszka... Sądzicie, że co, że jak przyszliście do sekretarza to zaraz będzie wojował przeciwko wszystkim, przeciwko słuszności i obowiązującym przepisom? Przyszliście, bo co — partia ma kryć to wasze bałaganiarstwo i tę wódkę, myślicie, że sekretarz tylko zadzwoni gdzie należy, a wy już swoją premię dostaniecie i to niezależnie od tego, czy się wam należy czy nie?

Bladł, czerwienił się na przemian. I wreszcie nastąpił wybuch. To, co zrobił odebrało mi na chwilę mowę. Pomyślałem: więc to tak towarzyszu pojmujecie porządek w organizacji partyjnej? Bo ten pokrzywdzony we własnym odczuciu towarzysz położył swoją legitymację na biurku i bąknął, że ponieważ sekretarz jest przeciwko niemu, to widocznie nie ma wpływu na to aby naprawić krzywdę jaką mu wyrządzono pomijając w premii.

Wprawił mnie w takie zakłopotanie, ten gest człowieka, który nie wie po co przyszedł przed laty do partii, był tak szokujący, że ten człowiek zawiedziony już dawno wyszedł z pokoju a ja ciągle patrzyłem przed siebie nie widzącymi oczyma. Widziałem właściwie kogoś anonimowego, albo może raczej widziałem jakiś symbol: oto niektórzy towarzysze dopiero po latach obnażają cały swój prymityw rozumienia partii i swego członkostwa. To nasza wina, że dopiero po latach, że nie rozmawiamy z ludźmi, którzy według pozorów i statystyk stanowią skład tej czy innej organizacji, a oni nagle potrafią nas tak zaskoczyć. Bo jak to jest możliwe, żeby człowiek traktował należenie do partii tylko jako legitymację do przywilejów i premii a nie jako drogę do świadomej współodpowiedzialności? Sądzę, że takich towarzyszy nam nie trzeba. Ale to wina i naszej organizacji i tej, z której przed rokiem ten towarzysz przyszedł. A więc rozmawiać, rozwiewać wątpliwości, budzić w ludziach potrzebę wiedzy o życiu i świecie. Rozmawiać i po to, aby wiedzieć, z kim idziemy, na kogo możemy liczyć.

Nie jesteśmy wolni od klęsk w tej pracy nad rozwijaniem świadomości. Kiedyś rozmawiam z jednym towarzyszem o potrzebie szkolenia ideologicznego. Pytam dlaczego opuszcza zajęcia, staram się poruszyć w nim zainteresowanie do nauki. To było w piątek, dobrze pamiętam tę rozmowę, bo następnego dnia była sobota, a w sobotę ten towarzysz i jego kolega kradną silnik elektryczny. Wyrzuciliśmy go z organizacji i z pracy. Gdy się o tym dowiedziała jego żona — wyrzuciła go również z domu. Całą noc tułał się po lesie, nie mogąc zasnąć ani znaleźć spokoju. Przyszedł potem z płaczem, mówił o żonie i dzieciach (gdy kradł zapomniał widocznie o rodzinie), skamlał, groził odebraniem sobie życia. Myślałem, że może na człowieka przyjdzie takie zaślepienie i zanik świadomości, że szuka swej zagłady? Ten człowiek skończył się u nas jako pracownik i jako członek partii, ale czy mogłem jako sekretarz oprzeć się odruchowi udzielenia mu pomocy? Wyszukałem „spalonemu" robotę w innym przedsiębiorstwie, uprzedzając jaki to gagatek. Jemu samemu powiedziałem, że na nowym miejscu ma okazję do rehabilitacji. Może go jakoś uratujemy...

* * *

W tych dniach jeszcze raz rozmawiałem z sekretarzem. Był wyraźnie załamany. Przedsiębiorstwo nie wykonało planu kwartalnego, więc cały „operatyw" chodził przygnębiony. Utrata premii za ten plan oznacza, że pogorszy się klimat w przedsiębiorstwie, bo ludzie nie zarobią, a jak zły klimat — cierpi realizacja bieżących zadań. Ale zawiniło w tym podobno zjednoczenie i resort. Przedsiębiorstwo miało otrzymać 11 kilometrów rur a dostało tylko sześć. „Operatyw" ostro postawił tę sprawę, gdy sytuacja stawała się groźna, interweniował, sekretarz działał przy pomocy partyjnego autorytetu — daremnie. Rury nie przyszły, więc i planu nie można było na czas wykonać. Walka o te rury trwa zresztą do dziś, bo jak ich PKP nie przywiezie — w następnym kwartale nie będzie można ułożyć iluś tam kilometrów wodociągów i przewodów ciepłowniczych, w iluś tam domach w nowych osiedlach ludzie będą bluźnić, że dach nad głową już mają, ale w mieszkaniach kanalizacja nieczynna i wody brak.

Bitwa o rury zazębia się w tym przedsiębiorstwie z bitwą o człowieka. Bo coraz więcej nowo przyjętych pochodzi ze wsi. A ci ze wsi i z małych miasteczek — wiadomo — nie wypraktykowali jeszcze socjalizmu — kradną fufajki i szpadle, za nic mają poszanowanie mienia społecznego i współżycie w kolektywie świadomym swych celów.

Ten odcinek boju o człowieka i jego świadomość jest trudniejszy jeszcze i bardziej odpowiedzialny. Bo nawet jeśli już rury zaczną nadchodzić w terminie, zawsze przecież może się zdarzyć, że ktoś fałszywie pojmie swą przynależność do partii, jak ten człowiek domagający się od sekretarza premii nie wiadomo za co, że ktoś zamiast szkolić się ideologicznie organizować będzie z kumplami tak zwany zabór mienia. Co zrobić — myśli sekretarz — żeby się ustrzec przed podobnymi przypadkami?

FELIKS BĄBOL

Nożycami przez PRASĘ

OTOCZKA

Bardzo możliwe, że stwarzać fakty i wydarzenia o znaczeniu kulturalnym jest łatwiej, niż stwarzać dla nich otoczkę czyli budzić nimi szersze zainteresowanie, znajdować odbiorców — widzów i słuchaczy.

Znamienne przytoczenie znalazło się w miesięczniku „Poezja". Na marginesie refleksji o kolejnym, ogólnie rzecz biorąc, jakże udanym ogólnopolskim konkursie recytatorskim, którego finał stanowiło spotkanie w Łańcucie w połowie maja.

Przytoczenie pochodzi z wrocławskiej „Gazety Robotniczej", która omawiała przebieg powiatowych eliminacji w mieście wcale niepodłym, w Jeleniej Górze.

Recytatorzy, ludzie uparci i z poświęceniem, przeżyli swoje emocje i swój wielki dzień w samotności, w izolacji, gorzej: wśród okoliczności poniżających.

„I znów wypadło się zdziwić, że o godzinie na którą zapowiadano początek imprezy, zjawił się tylko jeden członek jury, że kierownik klubu nie zechciał pełnić obowiązków gospodarza, pozostawiając cały organizacyjny trud i honory reprezentacji pani, która jest nowym pracownikiem placówki i nową obywatelką miasta. Pani siedziała przy telefonie i gorączkowo zwoływała członków jury, którzy też się bardzo dziwili, bo przecież oni otrzymali zawiadomienie, że impreza rozpocznie się o godz. 11. Skąd ta dwoistość terminów? Nikt nie potrafił wyjaśnić.

Fanfar na otwarcie nie przewidziano, oficjele nie przyszli. Sytuację uratował wicedyrektor Teatru Jeleniogórskiego mgr Marcin Talarczyk zaproszony do przewodniczenia jury. Powitał on uczestników turnieju jak należy".

Wreszcie na sali pokazał się przedstawiciel jeleniogórskiej młodzi i, zniecierpliwiony, oświadczył, że wszyscy spoza... sali mają dość czekania na wieczorek taneczny.

„Trzeba było skapitulować. Ostatniego recytatora jury przesłuchało w kącie sekretariatu. Mówił świetnie. Skupiony, starał się nie dostrzegać bałaganu, wrzawy ani naszego zakłopotania...

Odbyło się to przesłuchanie w obecności kierownika klubu, który właśnie się pojawił bynajmniej nie zakłopotany dziwną oprawą poetyckiego święta. Oświadczył tylko, że zapowiedziane na jutrzejsze popołudnie ogłoszenie wyników nie może się odbyć w klubie, bo on ma w planie inną imprezę".

Na pewno różnie bywało nie tylko w Jeleniej Górze, aczkolwiek regulamin konkursu przewiduje:

„Turnieje wszystkich stopni mają charakter uroczystych świąt poezji, dni literatury, festiwali poetyckich itp. z udziałem publiczności, instruktorów artystycznych, nauczycieli, działaczy, przedstawicieli komitetów organizacyjnych konkursów, zaproszonych gości, przedstawicieli prasy, radia i telewizji".

Ciekawi jesteśmy, ile miejsca łódzkim eliminacjom poświęciło radio i TV?

Warto też wrócić do spotkań literackich w okresie Dni Oświaty, Książki i Prasy. Przyjęło się, iż autorzy wspominają potem ustnie lub w druku raczej o sukcesach, o spotkaniach udanych. Rzadko kto przyznaje się do nieudanych, rzadko widuje się w świetlicach tych, co powinni świecić przykładem: przełożonych w danych zakładach i instytucjach. Przeważnie reprezentacja ogranicza się do zalatanej bibliotekarki, do kierownika świetlicy lub kaowca.

I nie za często zdarzają się takie spotkania (znowu przykład pozytywny!), jakiego uczestnikiem był piszący te słowa w POM w Rąbieniu k. Aleksandrowa. Cała uroczystość, poświęcona kulturze. Interesujące quizy, przeprowadzone z myślą o kulturze na co dzień, wzruszająca orkiestra dziecięca, spotkanie młodzieży z dwóch szkół doskonalenia zawodowego. Wszystko w obecności dyrekcji, pod czujnym okiem Przewodniczącego Rady Zakładowej. Aż się wyjeżdżać nie chciało, choć przedstawiciel łódzkiego „Domu Książki" haniebnie przynaglał w myśl zasady „odfajkujmy i wracajmy"!

A więc, pisząc o faktach kulturalnych, częściej, bez kokieterii i krępacji, należy pisać o klimacie, w jakim się rozgrywają. Sama statystyka nic nie daje, chodzi przecież **o upowszechnianie kultury!**

PROSTACZKOWIE I PROSTAKI

Narrator Balzaka — a można przyjąć, że jest nim autor — wiedział bardzo wiele, o wiele więcej, niż opowiadał w książce, wiedział znacznie więcej niż powieściowi bohaterzy, aczkolwiek ci wywodzili się z różnych sfer, nieraz reprezentowali duże wyrobienie umysłowe, bogate życie uczuciowe.

Tak samo wygląda sprawa z narratorami — autorami innych powieści i opowiadań, polskich i niepolskich.

Jak się przedstawia narrator naszej współczesnej powieści zwłaszcza wychodzącej spod pióra młodszych prozaików? Niewesoło. Często jest to prostaczek (nie w wolterowskim znaczeniu) albo wręcz prostak, ordynus i chuj. W dodatku pochodzi z marginesu społecznego. Narrator jest kimś spod kiosków z piwem.

Skutki?

„W chwili, gdy narratorem współczesnej prozy stała się umysłowość prosta, zabrakło już w literaturze nauczyciela i wychowawcy, który byłby w stanie ową prostotę doskonalić, prowadzić po zawiłych tropach współczesnej kultury. Tym większe niepokoje budzić musi umysłowość, która prostotę sobie wykoncypowała; prostota stała się w tym momencie instrumentem funkcjonującym nierzadko wbrew porządkowi naturalnych właściwości umysłu narratora, stała się prostotą p r z e s a d n ą, wyimaginowaną, taką, która zieje teatrem (podobnym fałszem była atmosfera nasycająca sielanki dworskie, w których wieśniakami byli ukostiumowani odpowiednio dworacy)".

Bywa tedy, że powieści stają się „teatrem usankcjonowanego i nobilitowanego chamstwa w sferze uczuć, poglądów, mniemań". Autor rozważań o narratorze — Ch. Skrzyposzek ze „Współczesności" — ma na myśli prozę tak czy inaczej opartą o konwencje tradycyjne, zresztą u nas najczęstszą i najbardziej czytaną.

Szkoda jednak, że swoich rozważań nie poparł większą ilością przykładów, rozważania byłyby bardziej przekonywające. Ograniczył się właściwie do jednej książki, której bohaterowie — młody pisarz i jego żona — posługują się takim żargonem:

„Aleś ty osioł", „masz ty kanalio", „ty bandyto", „cym bał jesteś", „no wiesz, piesku, świnia jesteś", „cichajże, głupia", „ty, bo jak cię kopnę, to zapomnisz, jak się nazywasz", „jesteś skończony drań", „ty kaciało, ty ciemięgo, ty ciućmoku".

JAK JEŻDZIMY I JAK CHODZIMY?

Tytuł z prasy:

W 1967 R. — ZGINĘŁO 3 TYS. OSÓB — 27 TYS. ODNIOSŁO RANY

JAN OLECHNO

BOGDA MADEJ

Szansa dla młodego turysty

Sezon urlopowy i turystyczny w pełni, nic więc dziwnego, że każdą rozmowę ze znajomymi rozpoczynamy od trzech pytań — gdzie? kiedy? za ile? Oczywiście najbardziej zadowoleni są ci, którzy mogą wtedy odpowiedzieć — wiesz, wyjeżdżam do...; tutaj należy wstawić nazwę kraju demokracji ludowej, rzadziej — kraju zachodniego. Pytamy jeszcze — ile? a kiedy już wszystko wiemy, bo informacji nam nie skąpią, zaczynamy się zastanawiać — skąd on na to ma, przecież wyjeżdża co rok, snob jeden. Nie o nich będzie tu mowa, bo turystyka, którą chcemy przedstawić zaczyna się od uczciwego, bezdewizowego — T.

Ma więc być szansa dla młodego turysty. Szansa jest. Warto z niej skorzystać. A przede wszystkim warto o niej wiedzieć.

JUVENTUR...

czyli Biuro Zagranicznej Turystyki Młodzieży i zarazem główny bohater niniejszego artykułu, jest właśnie ową szansą. „Juventur", który w Warszawie pełni swoje usługi już od roku 1957, w Łodzi zaczął działać dopiero w 1966 r. Okres to dość długi, aby zgromadzić już pewne doświadczenia i jeszcze zbyt krótki, aby nie było mniejszych i większych trudności. O tym potem. Na razie, aby zaspokoić ciekawość czytelnika, w jakim stopniu „Juventur" daje szansę młodym turystom, trochę danych i trochę liczb, które jeśli nawet nie przydadzą się już w tym sezonie, niech bliżej przedstawia możliwości na dalszą turystyczną przyszłość. Jak sama nazwa wyraźnie sugeruje, a w tytule zostało podkreślone, turysta któremu Biuro oferuje swoje usługi ma być młody. A ponieważ termin ten a przede wszystkim jego górna granica jest w pewnych kołach bardzo enigmatyczna, sprecyzowano dokładniej — młodzi w wieku od 15 do 30 lat zorganizowani w ZMS, ZMW lub ZHP. Rozczarowanych w tym miejscu spieszę pocieszyć: na ogólną liczbę 1.691 uczestników wysłanych w ubiegłym roku, 1.479 osób mieściło się w wyznaczonych granicach wieku, resztę stanowili młodzi powyżej trzydziestki. Niezrzeszonych w żadnej z wymienionych organizacji młodzieżowych informuję, że w tym roku wprowadzono nowy przepis zezwalający na uczestnictwo w wycieczce zagranicznej także dla nich, byleby uzyskali w miejscu pracy lub nauki swego rodzaju poręczenie od organizacji, która zgłasza kandydatury do „Juventuru". Zarządzenie jak najbardziej słuszne, choćby dlatego, że „Juventur" jest nie tylko usługowym przedsiębiorstwem turystycznym, lecz także jedną z form działalności wychowawczej ruchu młodzieżowego.

GDZIE? KIEDY? ZA ILE?

Najwyższa już pora, aby odpowiedzieć na trzy podstawowe pytania, od których właściwie należało chyba zacząć. Żeby nie przedłużać — z „Juventurem" jeździ się do ZSRR — 32 grupy, NRD — 20, Czechosłowacji — 4, Rumunii — 2, Jugosławii — 2, na Węgry — 3, a także do krajów kapitalistycznych — Francji, Włoch, Austrii i Algierii. Podane obok liczby obrazują ilość grup wysyłanych w bieżącym roku przez łódzki „Juventur". O ile decyzje o wyjeździe do któregoś z krajów demokracji zatwierdzają komitety miejskie i wojewódzkie organizacji młodzieżowych, o tyle decyzje na wyjazd do krajów zachodnich zapadają na wysokim szczeblu centralnym. Dla przykładu, na 1.691 osób wysłanych z Łodzi za granicę w 1967 r., do krajów zachodnich wyjechało około 120 turystów i jest to mniej więcej stała liczba.

Znacznie prostsza jest odpowiedź na drugie pytanie — kiedy? Sezon turystyczny „Juventuru" trwa od marca do listopada, a w grudniu dodatkowo można wyjechać z kraju i za granicę witać Nowy Rok. Oczywiście, szczególne nasilenie ruchu turystycznego przypada na najcieplejsze miesiące roku. Czas pobytu — od 4 do 17 dni i w zależności od tego, a także trasy, kształtują się ceny, bardzo w „Juventurze" istotne. Najtaniej, bo tylko 1.100 zł kosztuje 4-dniowa wycieczka do Drezna; z gatunku tych „średniodrogich" — 13 dni pobytu w ZSRR — trasa Moskwa — Odessa — Kijów — kosztuje 2.650 zł i najdroższe — 16 dni w Jugosławii — 4.200 zł, i 14 dni w ZSRR — na pięknej trasie — Moskwa, Taszkient, Samarkanda, Buchara — 5.900 zł lub za 5.500 zł Moskwa — Irkuck — Brack — tutaj podziwia się również przepiękny Bajkał, którym zachwycają się ci, którzy z „Juventurem" już go widzieli.

Kto orientuje się w cenach wycieczek zagranicznych organizowanych przez inne biura podróży, już wie, że tu właśnie kryje się szansa dla młodego turysty, któremu się z reguły nie przelewa.

Młodzi łodzianie wyjeżdżający z „Juventurem" na wycieczki godnie reprezentują nasze miasto. W porównaniu z rokiem 66, kiedy to łódzkie Biuro jeszcze raczkowało, a grupy podzielone były na grupki zawodowe, zmieniło się bardzo dużo. Udało się niemal narzucić serdeczny stosunek między turystami. Wiek stanowi tutaj zupełnie drugorzędną sprawę, wszyscy mówią sobie „ty" i tylko w najgorszym wypadku — kolega. Może dlatego na wycieczki „Juventuru" zgłasza się tylu chętnych z przekroczonym wiekiem. Młodzieżowa atmosfera przypomina własną młodość.

Spośród wszystkich grup wyjeżdżających, na szczególne uznanie zasługują te organizowane przez kuratorium. Uczniowsko-nauczycielski skład zaskakuje z reguły świetną organizacją, dyscypliną, a przede wszystkim rzetelną wiedzą o kraju i miejscowości, do której jadą.

Zdarzają się i na młodzieżowych wycieczkach osobnicy o zacięciu raczej handlowym, niż turystycznym. Wobec nich wyciąga się jednak nieprzyjemne konsekwencje: nigdy więcej z „Juventurem" na wycieczkę nie pojadą. A oprócz tego, w biurach paszportowych zaznacza się, żeby na jakiś czas „handlowiec" za granicę nie wyjeżdżał.

WIZYTĘ W ŁODZI

złożyło w ubiegłym roku 800 osób ze Związku Radzieckiego i 250 osób z NRF, Francji, Szwajcarii i Norwegii.

Bo „Juventur" to nie tylko turystyka wyjazdowa, ale w takim samym stopniu, turystyka przyjazdowa. Tutaj leży przyczyna bezdewizowych wycieczek — młodzieżowa turystyka funkcjonuje na zasadzie „wysyłamy — przyjmujemy", „Juventur" ściśle współpracuje ze swoimi odpowiednikami za granicą, na przykład z radzieckim „Sputnikiem", który jest głównym kontrahentem łódzkiego biura.

Przyjmowanie grup to zupełnie inna forma pracy. Należy zadbać o właściwy i atrakcyjny program pobytu w Łodzi, pokazać, co do pokazania mamy, przydzielić grupę odpowiedniej organizacji, która ma gości na naszym terenie podejmować. Najczęściej robi to ZMS, koniecznie trzeba dodać, łódzki i wojewódzki. Szuka się jeszcze patrona czyli zakładu przemysłowego, który przyjmuje u siebie grupę. Jeśli nawet z początku zakład nie bardzo jest uradowany taką ofertą, to potem, jak się już do roboty przyłoży, Rosjanie często płaczą przy wyjeździe z Łodzi i zupełnie serio proponują, że oni sobie u nas na cały czas pobytu w Polsce zostaną. I trudno chyba rozdzielić, jaki w tym udział „Juventuru", młodzieżowych organizacji w zakładzie podejmującym gości, a może po prostu młodych łodzian i mieszkańców województwa.

Bezpośredni kontakt młodzieży, oprócz walorów zupełnie oczywistych, znowu sprzyja turystyce. Po wizycie radzieckiej grupy w piotrkowskiej Fabryce Budowy Maszyn Górniczych, młodzież z tego zakładu wybiera się z rewizytą, młodzi ludzie z aleksandrowskiej „Sandry" chcą odwiedzić leningradczyków, których gościli u siebie. I najpewniej im się to uda, bo „Juventur" i takie wycieczki załatwia.

* * *

Turystyka przyjazdowa oprócz tego, że pomogła wywindować się Łodzi na trwałą pozycję w młodzieżowym ruchu turystycznym jest jednocześnie skuteczną formą propagandy juventurowskich wycieczek. Że z propagandą w pewnych środowiskach nie jest najlepiej, znowu świadczą liczby. W ubiegłym roku wyjechało między innymi 199 osób z kadry inżynieryjno-technicznej, 477 uczniów i studentów, 97 robotników i 4 rolników (!) W ZMW tłumaczą, że wycieczki jeszcze za drogie, kieszonkowe stanowczo zamałe, a terminy letnie nie bardzo rolnikom odpowiadają. I jest w tym część prawdy. Ale prawda jest także, że do którychś taz z kolei szczebli organizacyjnych w powiatach, w mniejszych zakładach i spółdzielniach informacja o zagranicznych wycieczkach nie dociera, a jeśli nawet dotrze, to nikt nie kwapi się do propagowania akcji wyjazdowej wśród zwykłych członków organizacji. Prawda jest także, że tu i ówdzie, co atrakcyjniejsze wycieczki załatwia się w kołach najbliżej związanych z działaczami organizacyjnymi, że znaczną część młodzieży nawet nie bardzo orientuje się w możliwościach wyjazdowych.

Dalszy fakt świadczący o tym, że nie wszystko jest w porządku — czasem organizacja nie potrafi przez trzy miesiące znaleźć chętnych na wyjazd. „Juventur" szuka wtedy innych, którzy załatwiają wszystko w ciągu tygodnia. Oczywiście, kłopotów jest więcej, ot, chociażby sprawa znalezienia przystosowane do kieszeni młodzieży przystosować do potrzeb „Juventuru" i stworzyć w nim ośrodek czynny cały rok. W tej chwili, jako bazę noclegową wykorzystuje się Międzynarodowy Hotel Studencki, czynny tylko w okresie wakacji. W ciągu pozostałych miesięcy grupy przyjezdnych zatrzymują się w hotelach miejskich, gdzie jak wiadomo ceny nie są przystosowane do kieszeni młodzieży.

TERESA WOJCIECHOWSKA

WESOŁE ŻYCIE MARYNARZA

Życie marynarzy znałam z piosenek: „Wesołe życie marynarza... co krok przygoda mu się zdarza", „Bo majtkiem na okręcie jest tylko chłopak zuch" i tak dalej. Życia na morzu nie znałam w ogóle, ba nawet pływać nie umiem i zimna woda napełnia mnie przerażeniem. Pewnie z tych wszystkich powodów wymarzyłam sobie właśnie rejs statkiem handlowym. O pokonywaniu przeszkód w dotarciu do tego celu pisać nie będę, bo nie należy to do tematu. Najważniejsze, że „zamustrowali" mnie w PLO na statek płynący do portów Morza Śródziemnego. Pan w PLO rozsnuł przede mną kuszące perspektywy: Antwerpia, Pireus, Istambuł, Bejrut, Lattakia, Aleksandria. Zgodziłam się z entuzjazmem.

1-szy dzień podróży. Rozpoczął się optymistycznie, w ten nastrój wprowadził mnie widok kabiny, dużej, jasnej, gdzie obok dwóch wygodnych łóżek była i kanapka i fotele i okna (zwane na statku bulajami) z widokiem na morze. I łazienka z natryskiem — zawsze ze słodkiej wody, którą na większości statków otrzymuje się z miejscowych destylatorów odsalających morską wodę. W mesie oficerskiej, również jadalni pasażerów, zwanej także salonem, znaleźliśmy nie tylko radio i telewizor, ale również barek, który jednakże okazał się nieporozumieniem, albowiem statek zabiera tylko czwórkę pasażerów i z tych bar się nie utrzyma, zwłaszcza, że pasażerowie nie są skłonni wydawać pieniędzy na alkohol z 40-procentowym narzutem. Półki barowe służą więc na butelki z oliwą, bulionem i sokiem pomidorowym, zaś lada założona jest prasą codzienną i ilustrowaną, w ciągu 6-tygodni raz tylko wymienianą na nieco aktualniejszą. Salon powinien skupiać życie towarzyskie, ale praktycznie takie nie istnieje.

Podróż na razie nie dostarcza większych wrażeń. Statek płynie tak spokojnie, że właściwie nie odczuwa się żadnego ruchu. Jakoś mi się wydaje, że płyniemy bardzo wolno. Jest to szybkość maksymalna dla tej jednostki — 15 węzłów. Węzeł — to mila na godzinę, mila ma ok. 1,8 km. Czyli płyniemy z szybkością około 27 km na godzinę. No, ale za to płyniemy 24 godziny na dobę.

2-gi dzień. Jesteśmy w kanale Kilońskim. 96,5 km. Czyściutki, zadbany, zagospodarowany, wzdłuż brzegów soczysta zieleń, piękne wille, na końcu kanału, wzdłuż nabrzeża, ciągną się wielkie zakłady budowlane firmy Zeressen, słynnej z handlu wszystkim, czym można handlować, od domków jednorodzinnych i samochodów, po swetry, bluzki, perfumy i solone orzeszki. Na polskie statki wsiada pan Kupke, mówiący jako tako po polsku, przyjmuje zamówienia, dostarcza potem całkiem czegoś innego, ale za to nigdy się nie obraża i ma doskonałe samopoczucie.

Telewizja już się skończyła, potem będziemy oglądać program krajów, obok których przepływamy, ale za to bez dźwięku. Taki mamy patriotyczny aparat, uznaje tylko polską mowę. Warszawy także nie słychać już przez radio. Przez cały czas rejsu polską mowę można złapać tylko z Wolnej Europy lub Tirany.

3-ci dzień. Morze Północne. Zimne, ponure, na pokładzie istny mróz, kabiny są ogrzewane. Płyniemy wzdłuż wybrzeży Holandii. Małe, przybrzeżne miasteczko, nazywa się Vlissingen. Śliczne, czyściutkie, oczywiście, wiatraki. Stare budownictwo wdzięcznie połączone z kolorowym, nowoczesnym. Mały pasażerski port, plaża zagospodarowana — aż zazdrość bierze patrzeć. Domki campingowe, kosze, stoliki, parasole, kawiarenki. Na razie wszystko puste.

Telewizja już działa. Oglądamy japońską operę, jak się rzekło bez dźwięku, więc nie wiadomo, o co chodzi. Dopiero kiedy przyszedł cieśla okrętowy, usiadł w kucki na dywanie, wszystko się wyjaśniło. Opowiedział nam swoją wersję wydarzeń na ekranie, przyjęliśmy ją, ponieważ była interesująca, a na żadną inną nie było nas stać.

Wtedy właśnie zrozumiałam po raz pierwszy skąd się bierze marynarska fantazja. Często opowiadają niestworzone historie, nie nadając im nawet pozorów prawdopodobieństwa. Cieszą się, gdy się wierzy, nie dziwią — gdy się nie wierzy. Sądziłam początkowo, że to bogactwo wrażeń („co krok przygoda mu się zdarza..."), wspomnienia mieszają się z fikcją. Nic podobnego. To zamknięcie na statku — jak w pływającym pudle, długotrwałe obcowanie z tą samą, niewielką grupą ludzi i myśl o tym, co się dzieje w każdym dniu, w każdej minucie na lądzie, tak pobudzają wyobraźnię.

Pływające pudło jest urządzone wygodnie, tak, by stworzyć warunki domowe. Ale izolacja od normalnego życia, od kraju, rodziny, niepokój o nią, pobudzają wyobraźnię, każą jej pracować intensywniej niż nam, zajętym wielorakimi sprawami, mającym pod bokiem „wszystko co nasze". Rejsy śródziemnomorskie trwają do dwóch miesięcy i należą do uprzywilejowanych. W warunkach rejsów dalekomorskich, półrocznych czy nawet 8-miesięcznych, w gorszych warunkach klimatycznych, a czasem i bytowych, te wszystkie sprawy nabierają większych, ostrzejszych wymiarów, czasem prowadzą do załamań psychicznych.

4-ty dzień. Jesteśmy w Antwerpii. Największy port belgijski, jeden z największych portów świata, stare miasto, którego początki sięgają VII wieku. Co można zobaczyć w ciągu półtora dnia postoju? Słynną katedrę z XVI wieku, ogród zoologiczny, pobserwować tak zwane życie, popatrzeć na wystawy sklepowe, powłóczyć się po ulicach? Na tyle właśnie starczyło czasu. Wspaniałe magazyny, piękne wystawy, wytworna odzież, biżuteria, bajońskie ceny. Ale na ulicach szary tłum, choć dostatnio ubrany, nie widać na przechodniach tych rzeczy z drogich magazynów. Mało młodzieży, miasto sprawia wrażenie zamieszkałego przez ludzi starszych, choć ulicami mkną, nie zatrzymujące się na przystankach autobusy z napisem: „uczniowie". Katedra ogromna, wystrzela w niebo 123-metrową wieżą. Mury brudne i odrapane, wewnątrz wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Nie z turystyki, widać, żyje to miasto.

5-ty dzień. Przy wyjeździe z Antwerpii przymusowy postój przed śluzą, którą wpływa się na Skaldę. Ruch w porcie zawrotny. Wielkie i małe statki wszystkich bander, poza tym mnóstwo niewielkich ruchliwych barek transportowych, których właściciele czy dzierżawcy, żyją tu całymi rodzinami. Barka stanowi przez kilka miesięcy w roku ich dom. Żony i dzieci pracują na równi z mężczyznami. Na pokładzie psy i koty, przez odsłonięte firaneczki widać doniczki z kwiatami.

Morze Północne nie jest gościnne. Zimno, gęsta mgła. Co robić? Gdańskie gazety zostały już dawno przeczytane. Biblioteka dość uboga i dość jednostronna tematycznie. A czeka nas 12 dni na pełnym morzu. Już wiadomo, że z Pireusu i Istambułu nic nie będzie, płyniemy prosto do Bejrutu.

Załoga dosypia po nocnych manewrach, tak się nazywa wjazd i wyjazd z portu — najcięższe chwile w pracy załogi, szczególnie pokładowej, ale i maszynowej również. W maszynie, pod pokładem, praca jest zawsze ciężka. Mimo wyciągów i urządzeń chłodniczych, temperatura przewyższa czasem 40 stopni, hałas, stukot maszyn przekracza wielokrotnie dozwoloną ilość decybeli. Hałas w najstarszych łódzkich fabrykach wydaje się fraszką w porównaniu z tym, co się dzieje tutaj.

6-ty dzień. Mijamy kanał La Manche i wpływamy do Zatoki Biskajskiej. Przepowiednie marynarzy, że Biskaj lubi pohuśtać, sprawdzają się. Mamy wreszcie „mocne wrażenia" w postaci silnego kołysania statku. Moja współlokatorka, doświadczony marynarz (przez 12 lat pływała na „Batorym", teraz, w przededniu emerytury, PLO ufundowały jej ten rejs jako pasażerce), zdejmuje ze stołu wszystko co ruchome i ustawia na podłodze, z szufladki wyjmuje aviomarinę. Słuchamy z przerażeniem gwizdów śruby silnikowej, które przypominają głos startującego odrzutowca. Kiedy następnego dnia rano pojawiamy się jako bohaterki na śniadaniu, opowiadając o swoich przeżyciach, marynarze będą bardzo zdziwieni. Huśtało w nocy? Naprawdę? Nie zauważyli. Okazuje się, że wcale nie wiemy, jak wygląda prawdziwe huśtanie. Ale my już nie mamy ochoty przekonywać się, jak ono wygląda.

8-my dzień. Płyniemy wzdłuż brzegów Portugalii, malowniczo skalistych. Pod wieczór minęliśmy Gibraltar, wyraźnie było widać twierdzę, po prawej stronie wybrzeża Afryki. Życie towarzyskie skupia się wokół niemego telewizora. Nie tylko my poznajemy załogę, oni poznają się między sobą. Zawsze na rejs przychodzi część nowych ludzi, nie zżytych jeszcze z resztą. Marynarze nie są specjalnie wylewni, łatwi do zawierania przyjaźni.

AUTOBUS wiozący śmierć

Dalszy ciąg ze str. 1

zdecydował się, żeby jednak zeznawać.

Mieszka w Borowinie. To wioska niedaleko Zamościa, rodzice mają gospodarstwo, sześć i pół hektara. Pierwszego maja pojechał do miasta i po pochodzie spotkał swych znajomych ze wsi. Mieli trochę grosiwa, więc postanowili obciągnąć butelkę winiacza, po namyśle jeszcze jedną. Patykiem pisane odbili w parku, siedli sobie na ławce i uradzili, że pojadą na zabawę do Sitna.

Wtedy poszli na dworzec PKS. Obliczyli się i że pieniędzy mieli już niewiele, musieli się rozejrzeć za jakimś tanim środkiem lokomocji.

— Kolega polecił, żeby wziąć jakiś samochód — powie Hałasa.

— Polecił? — zdziwił się sędzia Gągała.

— Zaproponował — rozstrzygnie tę wątpliwość oskarżony.

Wtedy Hałasa poszedł zabrać samochód, a koledzy mieli na niego czekać na ulicy Hrubieszowskiej. Ale nie czekali.

— Dlaczego oskarżony nie mówił o tym w śledztwie? — zapytał wreszcie sędzia.

— Nie chciałem obciążać kolegów.

— A teraz chce obciążać?

— Chcę, żeby siedzieli — powiedział łagodnie Hałasa. Ale to była jego wersja zdarzenia.

Logika faktów jest nieco odmienna.

Kiedy uradzili pojechać do Sitna, Hałasa miał przy sobie trzydzieści złotych. Zataił to przed kumplami, pił na ich koszt, więc nie wypadało mu w ostatniej chwili wyciągać te trzy koperniki. Ich gest w stosunku do niego skończył się na winie: do Sitna pojechali sami. Postanowił, że im zaimponuje.

W Zamościu parkuje wiele pięknych aut, którymi nietrudno zaopiekować się w porze, gdy właściciele odczekują długie minuty w restauracji, zanim wreszcie pojawi się kelner. Ale Hałasa nie dbał o markę; potrzebował ogromnego wozu, miał swój plan.

Poszedł do bazy PKS. Wejść tu nie było trudno, a zresztą Hałasa dobrze znał plac parkingowy: na tym placu miał zajęcie, kiedy jeszcze chodził do szkoły. Szkoła dała mu zawód montera samochodowego, ale w swoim fachu pracował krótko — wszystkiego dwa miechy. Z pracy wyleciał z trzaskiem i jeszcze czeka go sprawa: po pijanemu wyprowadził zakładowy „pick-up" i odrobinę rozwalił. Wcześniej podobna historia przydarzyła mu się z motocyklem, który ukradł jakimś poczciwcom i pojechał w Polskę, aż pijanego zatrzymała milicja drogowa. Za ten motocykl dostał wyrok, półtora roku, ale sąd wzruszył się jego młodym wiekiem i zawiesił wykonanie kary. Teraz odpowiada za autobus, bo tam w bazie Hałasa upodobał sobie autobus.

— Jeszcze takiego nie prowadziłem — podaje na usprawiedliwienie.

„Jelcz" miał numer rejestracyjny LG 89-44, stał gotowy do drogi, po południu powinien odbyć swój regularny kurs. Hałasa zajrzał do środka, zbadał stacyjkę i rozejrzał się za jakimś „wytrychem". Uznał, że w sam raz będzie metalowe cięgło. Wetknął je do stacyjki i włączył motor.

W bazie łańcuch był akurat opuszczony, z bramy wyjeżdżała ciężarówka. Hałasa z fantazją pojechał jej śladem. Portier coś do niego krzyczał, ale mało się tym przejmował. Za chwilę „Jelcz" wyjechał na ruchliwą drogę do Lublina.

Portier Król zanotował sobie numer autobusu i zastanawiał się co zrobić. Miał świadomość, że wóz wyjechał z bazy bezprawnie. Wiedział, że kierowcy nie powinni tego robić, ale był bezradny, kiedy jakiś szofer pożyczał sobie wóz, żeby przywieźć kartofli ze wsi, albo odwieźć meble do mieszkania. O uprowadzeniu autobusu przez kogoś obcego nawet nie pomyślał.

Król wahał się, ale zawiadomił wreszcie dyspozytora.

— Który to taki cwany? — zapytał tamten.

— A Kowalczyk — zameldował portier.

— Więc to Kowalczyk — zapamiętał sobie dyspozytor. Dał od siebie krnabrnemu kierowcy godzinę na powrót do bazy, dłużej nie zamierzał go kryć.

Tymczasem Hałasa nie martwiąc się zupełnie, że autobus pójdzie na konto Bogu ducha winnego Kowalczyka, szalał pijanym „Jelczem" na szosie lubelskiej. Do Krasnegostawu sprawdzał mechanizmy. Prowadziło mu się lekko, wóz słuchał najmniejszego drgnienia kierownicy, serwo spisywało się na sto dwa. Za Krasnymstawem zobaczył na przystanku dziewczynę: przyhamował.

— Do Lublina — powiedziała i dała mu szesnaście złotych, bo taka jest taryfa pasażerska PKS.

Najpierw jazda tym nadprogramowym autobusem spodobała jej się, potem jednak poczuła, że coś nie tak. Wóz coś zbyt często jeździł zygzakiem, chociaż szosa o tej porze była prawie pusta.

— Świadek się nie bała? — zapyta o wrażenia Sąd.

— Bałam, ale bardzo mi się śpieszyło, więc nie wysiadłam.

Byli jednak tacy, co wysiadali, bo Hałasa od Krasnegostawu regularnie już zatrzymywał wóz na przystankach. Wpuszczał pasażerów i zbierał pieniądze. Po prawdzie nie nalegał, ludzie sami dawali. Płacili zgodnie z taryfą i nie mieli za złe, że nie dostają biletów, do go przyzwyczaili ich już inni kierowcy. Boczyli się tylko o te zygzaki, które rzucały autobusem od rowu do rowu. Jakaś pani nie wytrzymała nerwowo i wysiadła po przejechaniu jednego przystanku. Też jej się śpieszyło, ale miała słabe serce i to przeważyło.

A w bazie w Zamościu tymczasem cierpliwie czekali na powrót Kowalczyka. Wtedy przyjechał z trasy jeden z kierowców i powiedział, że widział „Jelcza" na szosie do Lublina.

— Do Lublina — zaniepokoił się dyspozytor. — To nie Kowalczyk, on by tam nie pojechał.

W trójkę zaczęli się zastanawiać, który z chłopaków mógł zrobić ten lewy kurs. Na wszelki wypadek dyspozytor zawiadomił milicję. Powiedziano mu, żeby sami pilnowali swoich ludzi. Wtedy krąg wtajemniczonych w sprawę zniknięcia „Jelcza" rozszerzył się na dyrektora bazy.

Hałasa dojeżdżał już w tym czasie do Lublina. Przebił się wozem przez miasto i zatrzymał przed dworcem kolejowym. Kiedy wysiedli ostatni pasażerowie zrobiło mu się markotnie, więc po namyśle uruchomił motor i pojechał do wojewódzkiej bazy PKS, bo znał dobrze tutejsze zwyczaje i wiedział, że nikt go nie spyta o dokumenty.

Przed sądem Hałasa nie wyjaśnia, po co pojechał do lubelskiej bazy PKS, jesteśmy skazani na domysły. Ale widziano go tam w „Jelczu" na placu niesprawności, więc może zauważył jakaś usterkę w pracy samochodu. O osiemnastej tajemniczym autobusem zainteresował się jeden z pracowników bazy, który właśnie się posilał. Miał już podejść, ale przypomniał sobie, że wybiera się na zabawę, postanowił więc nie zawracać sobie tym głowy. Portier wyszedł widocznie z podobnego założenia: bez słowa opuścił łańcuch w bramie.

Hałasa naciskając do dechy pedał gazu pomknął w drogę powrotną do Zamościa. Nie miał szczęścia: na krótko przed nim wyjechał na tę trasę autobus linii regularnej prowadzony przez kierowcę Mieczysława Malca. Koło Janówka, dwadzieścia kilometrów za Lublinem, Hałasa spostrzegł konkurenta.

W tym miejscu szosa wznosiła się, widoczność znacznie zmalała, ale Hałasa nie dbał o to, już siedział konkurentowi na ogonie, już go wyprzedził o pół długości wozu. I wtedy gwałtownie skręcił w prawo zajeżdżając Malcowi drogę. W tym momencie powinno nastąpić zderzenie, ale Malec to wytrawny kierowca. Przyhamował, zjechał na pobocze i uratował swój wóz z pasażerami.

A pijany „Jelcz" łańczył jeszcze na szosie. Odbił w lewo, potem w prawo, potem znowu w lewo. Tym ostatnim skrętem zadał poczwórną śmierć. Akt oskarżenia stwierdza krótko:

„W tym czasie z przeciwnego kierunku nadjechał z szybkością 70 km na godz. samochód osobowy marki „Wartburg" prowadzony przez Halinę Kaczor.

Prowadzonym autobusem Hałasa uderzył lewym przednim błotnikiem w lewy błotnik samochodu „Wartburg". Na skutek uderzenia oba pojazdy stoczyły się do lewego rowu kierunku jazdy autobusu. Samochód „Wartburg" uległ kompletnemu zniszczeniu, zaś w autobusie na skutek wywrócenia się do góry kołami, uległa zniszczeniu karoseria.

Halina Kaczor, Małgorzata Kaczor i Michalina Krysa na skutek doznanych obrażeń poniosły śmierć na miejscu. Henryk Kaczor i Elżbieta Krysa zostali przewiezieni do Szpitala Miejskiego w Lublinie, gdzie w dniu następnym Henryk Kaczor zmarł nie odzyskawszy przytomności.

Teraz Elżbieta Krysa, cudownie ocalała pasażerka „Wartburga" zeznaje przed sądem. Ma szesnaście lat, jest trzy lata młodsza od Hałasy. Opowiada przebieg wypadku ze wzruszeniem i jakąś dziewczęcą godnością. Ani jednego mściwego słowa: opis, protokolarny opis łamiącym się głosem. Straciła siostrę i matkę. I szwagra. I Małgosię, dziewięcioletnią córeczkę siostry.

Po raz pierwszy w ciągu całego procesu Hałasa przysłuchuje się uważnie. Do tej pory zdawał się na swoich adwokatów. Opowiadano jak zmasakrował „Wartburga" — pokładał się na swojej ławie. Ludzie opowiadali z przejęciem, jak go ścigali po wypadku — drzemał. Jak krzyczeli za nim, jak gonili na motocyklu — szeptał coś do pilnujących go milicjantów.

Teraz patrzy. Podobny skutek będą miały dopiero zeznania jego matki.

A kiedy prokurator Blaim zażądał kary dożywotniego więzienia, Hałasa siedział nieporuszony; tylko jego matka drgnęła.

Wyrok miano ogłosić niebawem. Wysypaliśmy się wszyscy do hallu rozprostować kości, wyszła i ona, szukała słuchaczy. Opowiadała, że bała się kupić synowi motocykl, bo syn sąsiadów zabił się na motorze. I kupiła mu rower.

Potem sąd ogłosił wyrok: dożywocie. To wyrok surowy zważywszy przedmiot oskarżenia: sprowadzenie niebezpieczeństwa katastrofy w komunikacji. To wyrok sprawiedliwy, zważywszy skutek fantazji Tadeusza Hałasy: zagładę rodziny Kaczorów. Ale będzie się on kłócił z naszym poczuciem sprawiedliwości dopóki na ławie oskarżonych nie zasiądą moralni pomocnicy oskarżonego, pracownicy przedsiębiorstw transportowych, którzy bezprzykładnym lekceważeniem swoich obowiązków zachęcają do porywania zostawionych bez żadnej opieki autobusów, tramwajów, ciężarówek. Pojazdów, które wiozą śmierć.

KONRAD FREJDLICH

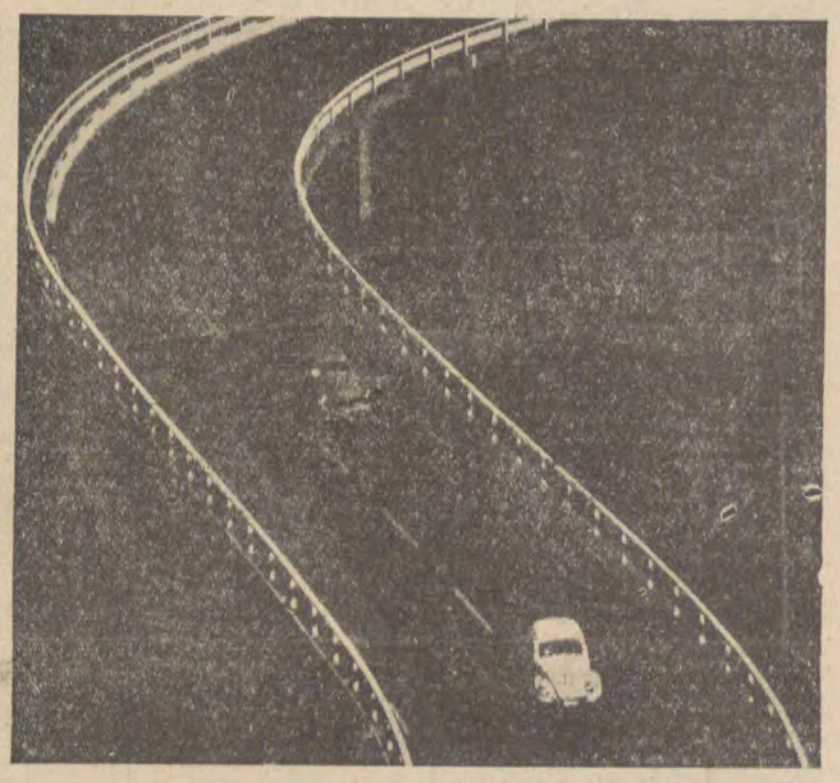

A właściwie co można robić na statku? Pasażer ogląda wszystko, bo widzi wszystko po raz pierwszy. Kolor wody, która w Biskaju jest szmaragdowa, a na Atlantyku przezroczysto-błękitna, wschody i zachody słońca, manewrowanie statku przy wpływaniu do portu, wreszcie wszystko co jest na statku, pyta co to, do czego i jak się nazywa. Ogląda „waterway" z rufy i bryzgi fal z dziobu, Zagląda w urządzenie radarowe i cmoka z zachwytu, jakie to mądre. Wszystko go dziwi i bawi. Ale co robi w wolnych od pracy chwilach marynarz, który to wszystko zna, dla którego wszystko to jest chlebem codziennym?

Największa atrakcja to kino. Jest takie, 16-tka, „sala kinowa" mieści się w niewielkiej mesie załogi. Na rejs dostaje się 4—5 filmów, które obleciały już całą Polskę. Na przykład „Kalosze szczęścia", „Smarkula" i inne podobne. Prasa nie dociera. Przepraszam, jest codzienna gazetka „Głos Marynarza" — Codzienne Wiadomości Radiowe Polskich Linii Oceanicznych. Dwie kartki maszynopisu, odbieranego codziennie wieczorem przez radiotelegrafistę, w ramach działalności społecznej przepisywane przez niego osobiście na maszynie. Dwie kartki, więc zdawać by się mogło, że wiadomości będą najważniejsze i najciekawsze. Wypisałam sobie kilka ewenementów z tej okrętowej gazety — jedynego źródła informacji o wydarzeniach w kraju i na świecie.

30. V. „Zakopane — Jeszcze tego lata gotowy będzie pierwszy z zaplanowanych basenów kąpielowych z wodą z niedawno odkrytych tam źródeł na Antałówce, których woda ma 38 stopni".

„Krynica — Perła polskich uzdrowisk otrzyma już z początkiem przyszłego roku gaz ziemny, przesyłany rurociągami z nowo odkrytych złóż na Podkarpaciu".

„Po cieplej słonecznej niedzieli — dziś na całym Wybrzeżu pochmurno" (oczywiście wiadomość z poprzedniego dnia).

23. V. „Nowy rozkład jazdy PKP, który wchodzi w życie z soboty na niedzielę, przewiduje m. in. znaczną poprawę połączeń na trasie Gdynia — Zakopane oraz bezpośrednie wagony ze Świnoujścia do Warszawy, skomunikowane z promem Ystad. Dzięki temu czas podróży z Ystad do Warszawy skróci się o 4 godziny".

20. V. „Zabytkowy wiatrak w Przyborowie k. Goleniowa zostanie zamieniony na starosłowiańską karczmę".

I tak dalej i dalej. Można sobie wyobrazić, jak cieszą się marynarze gdzieś w Bombaju, Hong-Kongu czy Aleksandrii, że podróż z Warszawy do Ystad skróci się o cztery godziny. Nie mówiąc już o euforii wywołanej wiadomością o przerobieniu wiatraka na karczmę w Przyborowie. Nie wiem ile kosztuje nadawanie takiej gazetki na wszystkie polskie jednostki pływające, ale sądzę, że dużo. O ile mi wiadomo, wiadomości te idą via: Gdynia — Warszawa — Gdynia — morze. Szkoda, że wszystko to nie przynosi większych korzyści.

Była kiedyś na statkach instytucja KOwca, została zlikwidowana, być może słusznie, bo nie bardzo wiem, co taki człowiek powinien robić. Widocznie nikt nie wiedział, ale razem z KO-wcem problem nie został zlikwidowany. Notabene, jeśli na statek bierze się pasażerów i to za sumy wcale niebagatelne, to również należy pomyśleć o jakimś wypełnieniu ich czasu, choćby na dni pochmurne, kiedy podziwianie krajobrazów, a właściwie wodoobrazów, jest niemożliwe.

12-ty dzień. Już cztery dni jesteśmy na Morzu Śródziemnym. Podziwiamy jak wyżej — widoki i z dala widoczne brzegi Afryki, góry Atlas, po drugiej stronie Sycylia, Kreta, grecka wyspa Karpatia. Zabawiają nas delfiny, które gromadami podpływają do statku, baraszkują, skaczą wysoko ponad wodę, ocierają się o dziób statku, jakby popisywały się przed ludźmi.

16-ty dzień. Wpłynęliśmy do portu w Bejrucie. Przez dwa dni staliśmy na kotwicy, było więc wiele czasu na podziwianie miasta z perspektywy. Bardzo malownicze na tle górzystego Libanu, szczególnie efektowne wieczorem, gdy błyszczy setkami kolorowych neonów i migocących światełek. Górzysty teren w kilku poziomach pocięty liniami autostrad, po których rytmicznym migotaniem przesuwają się światełka samochodów.

Z bliska miasto będzie wyglądało nieco inaczej, ale o tym innym razem. Na początek zainteresowaliśmy się egzotycznymi celnikami — jak wszędzie pierwszymi gośćmi na statku. Bardzo lubią naszą „prastarą kolońską". Robotnicy rozpoczynają wyładunek polskich mrożonych truskawek, a my dostajemy świeże pieczywo (dotychczas jedliśmy gdańskie) i mleko w proszku. Poza tym przychodzi świeża prasa (sprzed trzech dni) i radosna wiadomość, że być może, w drodze powrotnej wstąpimy do Casablanki i Lizbony, a także Kopenhagi lub Hamburga. Na wspomnienie Lizbony marynarzom zabłysły oczy. To jest coś! A jakie tam wino dobre i tanie!

Były czasy, kiedy polskim marynarzom nie wolno było wychodzić do miasta. Najwyżej kapitanowi i to w asyście przedstawicieli miejscowej władzy. Ale Polakom nie brak konceptu. Pewnej niedzieli powiedzieli, że chcą pójść na mszę. Tego w katolickiej Portugalii się nie lekceważy. Marynarze dostali liczną opiekę i zostali zawiezieni do lizbońskiej katedry. A katedra miała wiele wejść, które są również wyjściami. Chłopcy się rozproszyli i wrócili na statek nad ranem.

21-szy dzień. Po trzydniowym pobycie w Bejrucie i 6-godzinnej podróży morzem, jesteśmy w Lattakii, głównym porcie syryjskim, niewielkim, 65-tysięcznym mieście, niegdyś mandatowym terytorium francuskim. Widoczne jeszcze ślady budownictwa francuskiego, przeważnie w ruinie. Miasto raczej biedne, port nie rozwija się, tylko wybrzeże z 20-kilometrową plażą zadbane, tam się inwestuje chyba najwięcej. W przeciwieństwie do innych miast portowych. Lattakia jest cicha, spokojna, nie ma tu włóczęgów, żebraków, ludzie pełni godności osobistej, piękne dziewczęta, starsze kobiety dawne kwefy zastępują czarnymi szyfonowymi chustkami, którymi zasłaniają również twarze.

25-ty dzień. Cztery dni w Lattakii, dzień na morzu i jesteśmy w Aleksandrii. Upał jeszcze większy niż w poprzednich portach, o wyjściu na miasto w południe nie ma mowy, wieczorem asfalt jest rozmiękły od gorąca, w porcie podeszwy kleją się do asfaltu, to od naszej glukozy, którą tu m. in. przywieźliśmy.

Po celnikach pierwszymi gośćmi na statku są handlarze. Biżuteria ze skarabeuszami (pojawiła się teraz w Polsce), wyroby ze skóry wielbłądziej: puffy, portfele, torby, żółwie, palmy, kaktusy. Nie chcą pieniędzy, chcą odzieży, mydła, papierosów.

Do miasta idzie się przez ubogą portową dzielnicę arabską. Centrum jest zwane dzielnicą europejską. Za niewielką opłatą można przejechać dorożką lub taksówką. Jedziemy dorożką, bo to zaczyna już być atrakcją. Dorożkarz milczy, po pewnym czasie pyta nas o narodowość i dopiero potem się rozjaśnia. Mówi nam jakieś miłe rzeczy, niewiele rozumiemy, ale potakujemy równie serdecznie. Tutaj, tak samo zresztą jak we wszystkich portach arabskich Polacy darzeni są prawdziwą sympatią, traktuje się ich znacznie serdeczniej niż przedstawicieli innych narodowości.

31-szy dzień. Niewesoły. W Aleksandrii załadowano nam tyle ryżu, że nie ma mowy o innych portach. Pożegnaliśmy się z marzeniami o Lizbonie, Kopenhadze i Hamburgu. Marynarze nie tyle zmartwieni, ile my. Oni jeszcze tu wrócą, nie w tym, to w innym rejsie. Dla nas to stracona szansa, ale PLO nie biorą żadnej odpowiedzialności za obietnice. Frachtowiec nie „pasażer", nie może się liczyć z pasażerami. Każdy płynie na własną odpowiedzialność. Ba, za postój w Aleksandrii, na który nie mieliśmy, jak się łatwo domyślić, żadnego wpływu, doliczono nam specjalne koszty hotelowe, choć mieszkaliśmy i jedliśmy na statku. Ale przedstawiciel PLO dał mi i tak do zrozumienia, że tylko przez grzeczność zostałam wzięta w ten rejs.

32-gi dzień. Płyniemy do domu. Załogę ogarnia nerwowe podniecenie. Dyżurny mechanik zwiększa szybkość, spieszno mu do domu. Dostaje mu się za to kilka ciepłych słów od chiefa. „Chcesz pan awarii? Podkręcaj pan własny skuter, a nie państwowy statek!". Po chwili statek wraca do normalnej ilości obrotów śruby silnika. Przez najbliższych kilka wieczorów radiotelegrafista będzie miał pełne ręce roboty. Wszyscy telefonują do domu.

Te rozmowy, intymne i osobiste, są właściwie publiczną tajemnicą. Chcąc niechcąc wyłapuje się je na odbiorniku radiowym. Rozmowy są nerwowe, pełne podniecenia. „Czy byłaś grzeczna, Lusiu? Bo ja byłem grzeczny". Naiwny, rodzinny kod, taki łatwy do rozszyfrowania, ma rozproszyć nurtujące przez cały czas rejsu obawy: co robi moja żona, kiedy mnie nie ma w domu. Ktoś odpowiada, że wysłał z rejsu siedem listów, ktoś pyta czy córka dostanie przepustkę do portu. Mówią jakieś nieistotne, śmieszne rzeczy. Kiedy po długiej nieobecności ma się dużo do powiedzenia, mówi się często głupstwa, drobiazgi, nieważne i nieistotne.

Znów mijamy Kretę, Maltę, Sycylię, Hiszpanię, Gibraltar, Portugalię, kanał La Manche, znów płyniemy Morzem Północnym wzdłuż niewidocznych brzegów Belgii, Holandii, NRF, znów jesteśmy w kanale Kilońskim, zielonym i zadbanym, potem na Bałtyku i zbliżamy się do Gdańska.

Dla nas, pasażerów, kończy się „wielka przygoda", niepowtarzalna, bo ileż razy w życiu można sobie finansowo pozwolić na korzystanie z grzeczności PLO? Wracamy bogatsi o jakiś tam zasób wrażeń i doświadczeń, już wiemy jak wyglądają piramidy egipskie i pałac Faruka, obejrzeliśmy Paryż Wschodu — Bejrut, poznaliśmy „wesołe życie" marynarzy, którzy z utęsknieniem czekają na kilkudniowy pobyt na lądzie.

Dzień 40-ty. Dobijamy do gdańskiego nabrzeża. W porcie gromada kobiet i dzieci z kwiatami. Z pokładu marynarze wypatrują swoich, machają im rękoma. Na lądzie, z samochodu, który zawiezie nas do miasta, obserwuję załogę opuszczającą statek. Promienieją radością, ubrani odświętnie, w towarzystwie rodzin przemienili się w ojców, mężów, panów swego domu. Na krótko.

MIECZYSŁAWA KAUT

Zuzanna i starzec

Dziewczyna była wysoka i postawna. Miała długie, jasne włosy, od perhydrolu matowe i sypkie jak przesuszone siano, zniszczone końce oddzielnych pasm leżały na kołnierzu jej różowej bluzki.

Miała zdrowa, rumiana cerę i lekko rozchylone, zmysłowe wargi, przebłyskiwał przez nie srebrny ząb.

Całe włosy, jasne, jeszcze bez odrostów, a jednak czuło się, że jest szatynka i to ciemną szatynka, wskazywała na to rumiana cera, czarne rzęsy, szerokie łuki gęstych brwi łączące się nad nosem; jak jaskółka z rozwiniętymi w locie skrzydłami.

Stała w dworcowej poczekalni, pod zegarem, może czekała na kogoś, może na coś. Przechodzący mężczyźni zerkali w jej stronę. Dwaj młodzi, jeden z wąsikiem, w pikowanej kurtce, drugi w chabrowej koszuli i w marynarce w paski — zatrzymali się pod ścianą naprzeciwko. Patrzyli na dziewczynę i próbowali ściągnąć ją wzrokiem.

Nie udało się. Wtedy ten w marynarce podszedł do dziewczyny i stał kilka minut tak, jakby razem z nią na coś albo na kogoś czekał.

Nie reagowała.

Mrucząc pod nosem przeszedł obok niej, prawie się o nią otarł. Nawet nie drgnęła. Ten drugi, z wąsikiem, zachichotał. Postali jeszcze chwilę pod ścianą, poszeptali i odeszli. Ludzie przeważnie śpieszyli się, kupowali bilety i biegli na peron. A dziewczyna ciągle stała trzymając w złożonych na brzuchu dłoniach czarną, błyszczącą torebkę.

Znowu przyszli dwaj młodzi. Stanęli obok dziewczyny i ten z wąsikiem zagadnął.

— Pociąg pani uciekł.

Milczała. Głowę uniosła jeszcze wyżej i milczała.

— Przepraszam panią, która jest teraz godzina — zapytał ten w marynarce.

Dziewczyna obróciła się o 180 stopni tak, że twarzą zwróciła się bardziej w stronę młodego z wąsikiem. Wtedy on zagadnął.

— Panienka nierozmowna.

Nie odezwała się. Jej palce nerwowo ściskały torebkę.

— Dumna — młody z wąsikiem mrugnął do kolegi.

Popatrzył na zegarek i powtórzył pytanie.

— Która godzina, proszę pani, grzecznie pytam. Zegarek mi stanął.

Udała, że nie słucha, jakby to nie do niej było skierowane. Otwarła torebkę, wyjęła chusteczkę i otarła kąciki ust.

— Coś pani wypadło — powiedział młody w kurtce.

Drgnęła, popatrzyła pod nogi. Parsknęli śmiechem. Westchnęła głośno, ostentacyjnie, ale się nie odezwała. Ludzie zerkali w ich stronę.

— To która jest u pani godzina? Młody z wąsikiem chwycił ją za rękę. Wyrwała się i z całej siły uderzyła go w twarz.

— Ty świnio — wrzasnął młody wściekłym głosem. Pchnął ją, a wtedy ona jeszcze raz się zamachnęła i uderzyła tego drugiego. Zrobiło się zbiegowisko. Torebka dziewczyny leżała na ziemi, wszystko z niej wypadło. Pęknięta puderniczka, chusteczka do nosa, drobne pieniądze, kredka do ust. Przecisnął się do nich milicjant.

— O co chodzi?

Patrzył na dziewczynę zmęczonym, pochmurnym wzrokiem.

— Uderzyła go — powiedział młody w kurtce.

— Ciebie też — zasyczał ten z wąsikiem.

— Jak go mogła uderzyć — dziwili się ci, którzy nie widzieli zajścia — Musiał ją zaczepić....

Dwaj młodzi stali wściekli i czerwoni.

— Panie władzo, ona to zwykła... mówię panu. Z kasy wybiegła kasjerka.

— Godzinę tu stoi — krzyczała.

— Może stać dwie, a nie powinni zaczepiać — powiedział milicjant.

— To ona ich zaczepiła — kasjerka machała palcem tuż przy nosie dziewczyny.

Dziewczyna zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem, pochyliła się i zaczęła zbierać z podłogi rozrzucone drobiazgi.

— Niech pan ją zapyta po co tu stoi, to się pan dowie, co za jedna — powiedział młody z wąsikiem.

— Rozejść się — krzyknął milicjant — Wy też idźcie. Ludzie odsunęli się do tyłu.

— A pani niech tu nie stoi i nie robi awantur.

— Przecież to oni ją zaczepili — odezwał się ktoś z zebranych.

— To co, chcecie, żebym ich wszystkich wpakował do więzienia, rozzłościł się milicjant. — Mało macie zmartwień — i do dwóch młodych — No, już was nie ma!

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Dziewczyna schowała drobiazgi do torebki, zapięła ją, zrobiła dwa kroki i zatrzymała się. Milicjant ciągle na nią patrzył. A kiedy mimo to, nie ruszyła się i wyglądało, że znowu będzie tak stać, powiedział:

— No, czemu pani nie idzie? Wzruszyła ramionami.

— Nie wolno tak stać pod ścianą, proszę pani. Potem ma pani pretensję, że zaczepiają. A ludzie jak to ludzie, kiedy ktoś tak stoi zaczepiają.

— Czy ja mam pretensję — burknęła.

— To co, może pani chce, żeby zaczepiali — rozzłościł się.

— Czy ja powiedziałam, że chcę... Zegar pod nosem, a oni pytają która godzina. Milicjant popatrzył na ścianę, zobaczył zegar, pokręcił głową zbity z tropu. Postał jeszcze chwilę, a potem ruszył w stronę peronu. Za szklanymi drzwiami zatrzymał się.

— To oni ją zaczepili — odezwał się stojący obok niego drobny staruszek w długim, prawie do kostek sięgającym płaszczu. Tak jak milicjant patrzył przez szybę na dziewczynę.

— To po co tak stoi, — mruknął milicjant i odszedł zniechęcony. Staruszek patrzył za nim, a potem skierował się do poczekalni. Podszedł do dziewczyny i patrząc na nią małymi, bystrymi oczkami, powiedział.

— Bardzo panią przepraszam, ja wszystko widziałem. To pani miała słuszność.

Dziewczyna przechyliła głowę na ramię, zmierzyła staruszka nieprzyjaznym wzrokiem.

— Taka młoda, piękna kobieta jest bezbronna, kiedy jest sama — dodał.

Wzrok dziewczyny złagodniał.

— Jeżeli pani pozwoli, poczekam z panią do chwili, kiedy przyjdzie pani pociąg, pani... — zawiesił głos.

— Zuzanna — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Pani Zuzanno — prawie szeptem dokończył staruszek. Patrzyli na siebie uważnie. Potem dziewczyna przełożyła torebkę do prawej ręki, powiedziała:

— To chodźmy — i lewą rękę wsunęła pod ramię staruszka.

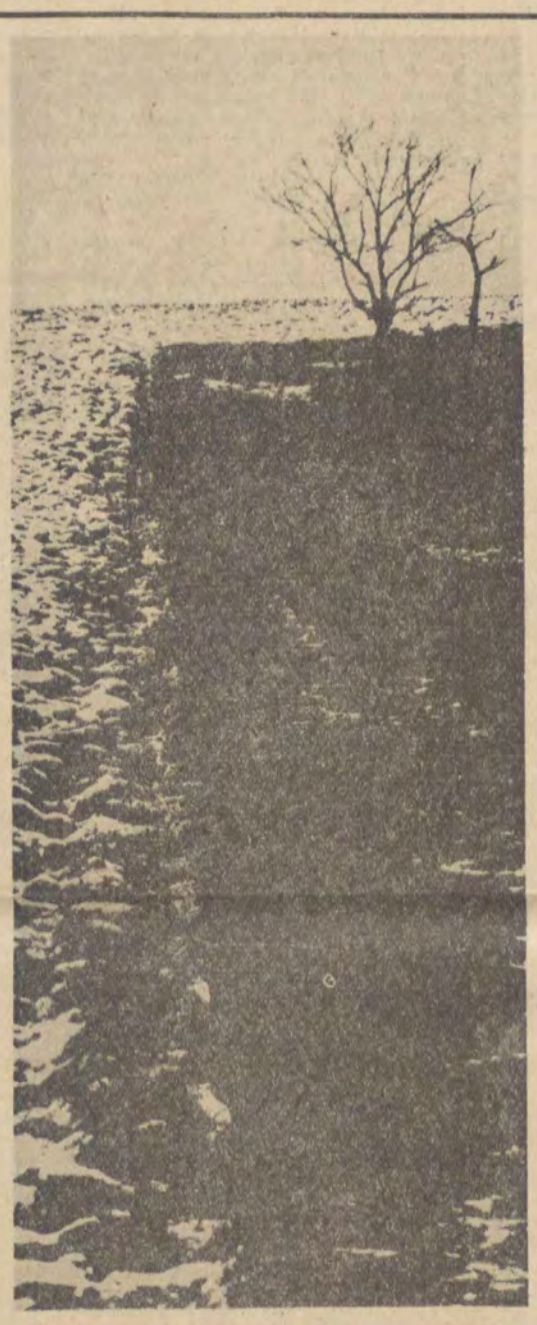

Bez strachu

SPRZEDAWCA POD DRZWIAMI

Zapukał do moich drzwi wędrowny sprzedawca. „Może pan kupi papier listowy i koperty?" Sprzedawca był chudy, obdarty, zgarbiony tak, że rękami dotykał ziemi. Mówił drżącym, płaczliwym głosem. W brudnej ręce trzymał papeterię, którą zamiatał podłogę. U jego stóp leżał płócienny worek pełen kopert i papieru listowego. Powiedziałem mu, że nie kupię papieru listowego i kopert. Zamknąłem drzwi. Po minucie zapukał ponownie: „Czy ma pan może buty, jakiekolwiek buty". Wyszukałem mu stare, bardzo jeszcze solidne zamszowe buty — buty pokryte były płatami pajęczyny, gdy uniosłem je w rękach, uciekł z nich pająk, który uprzednio usadowił się na dobre w butach, w sobie tylko wiadomych celach. Podałem buty sprzedawcy, podałem mu je wraz z pajęczyną... I raz jeszcze po minucie sprzedawca zapukał do moich drzwi: „Przepraszam, czy są u pana sznurowadła — to znaczy w butach są sznurowadła, dobre jeszcze sznurowadła, ale boję się, że pękną, kiedy włożę buty na nogi i dlatego chcę mieć zapasowe sznurowadła. Wie pan, mnie zawsze pękają sznurowadła — nawet takie, które inni mogą nosić latami". Nie dałem mu sznurowadeł i zatrzasnąłem drzwi. Dość miałem tego sprzedawcy z rękami przy ziemi, z papeterią — przez niego grzebiąc w starzyźnie, jak we własnych zastarzałych wspomnieniach, zetknąłem się z pająkami i pajęczyną. On mnie obdarzył niezdrową dumą z faktu podarowania mu butów i problematycznymi wyrzutami sumienia z powodu pozbawienia go zapasowych sznurowadeł; zająłem się sprawami, które uważałem za swoje. Po godzinie umyśliłem wyjść z domu, i oto natychmiast po otwarciu drzwi ujrzałem sprzedawcę. Siedział na schodach, co unaoczniło nową możliwość jego zgarbienia — dotykał w tej pozycji podłogę łokciami. „Proszę pana, tutaj nie wolno siedzieć. Tutaj są schody, po których się wchodzi i schodzi — a nie siedzi. Przykro mi, jest ładna pogoda — radzę iść do parku — usiądzie pan na ławce, rozłoży papeterię, przechodnie zainteresują się, będą u pana kupować. Tutaj nałyka się pan tylko kurzu i pogrąży w depresji". Podniósł na mnie załzawione oczy. „Idę, już idę, wiem, że muszę odejść..." Schodząc, słyszałem nad sobą jego powolne kroki — istotnie schodził. Gdy wracałem po kilku godzinach, spotkałem go siedzącego na schodach. Siedział, zresztą na innym piętrze i dlatego minąłem go w milczeniu. On także nie poznawał mnie w sposób bardzo dosadny. Był prawie wyprostowany — na kolanach trzymał rozwartą papeterię, zastruganym ołówkiem pisał list. Była to najdziwniejsza sprawa, której mogłem oczekiwać. Już pod swoimi drzwiami zastanawiałem się, dlaczego nie kupiłem od niego papeterii i wolałem mu dać buty... Otóż ja nie wierzyłem, że na jego papierze można pisać, że w jego koperty można wkładać zapisane arkusiki, że listy podobne można adresować i wysyłać. Przypomniałem sobie też, że sprzedawca mówił o sobie: „... wie pan, mnie zawsze pękają sznurowadła, nawet takie, które inni mogą nosić latami...".

BERNARD SZTAJNERT

JOSEPH GREEN

TWÓRCY

Kontakt — powiedział Nickno.

Fasail spojrzał na szczupłego, energicznego naukowca, który był chodzącym wzorcem swego trudnego gatunku, i przekręcił gałki ekranu. Czterdzieści dziewięć pozostałych okrętów Autoryzowanego Zespołu Galaktycznego pojawiło się w polu widzenia. Zgrupowane były nad słoneczną stroną bieguna planety, chociaż określenie „słoneczna strona" z trudem odnieść się dało do planety krążącej wokół słońca, sczerniałego i martwego od niewypowiedzianych tysiącleci.

Manipulując niezręcznie tłustymi palcami po tarczach przyrządów, Fasail przełączył jednostkę komunikacyjną z eterografu na radio-tłumacza i nadał sygnał. Odpowiedź Seffinna z Agolu, przewodniczącego Zespołu Galaktycznego, nadeszła prawie natychmiast.

— Gdzie wy, ludzie, zapodzieliście się? Spóźniliście się o osiem okresów. Cała reszta niecierpliwie na was czeka!

— Przykro nam, że sprawiliśmy wam kłopot — odpowiedział gładko Fasail. Pamiętacie jednak, że proszono nas, byśmy zabrali po drodze dwu delegatów z Sinkannatata, którzy nie dysponują środkami transportu. Niestety, odbywali właśnie konsultację z bankiem pamięci rasowej i nie chcieli się rozłączyć zanim nie skończą.

— Wyjaśnienie przyjęte do wiadomości — oznajmił sucho Seffinn. Tłumacz przekazał słowa przewodniczącego z szorstką zwięzłością. Rasa Seffinna, istot włókienkowatych, znana była z niezachwianego przywiązania do prawdy, oraz z całkowitego niemal braku poczucia taktu. To właśnie dzięki tym właściwościom zamianowany został Seffinn przewodniczącym ekspedycji; był też zarazem jedyną inteligencją galaktyczną reprezentowaną przez pojedynczego przedstawiciela. — Zajmijcie pozycję za mną, za chwilę będziemy lądować. Słońce-robot wisi już w pozycji nad miastem od kilku jednostek czasowych. Temperatura od dawna osiągnęła uzgodnioną środkową.

— Zrozumiano. Wyłączamy się — powiedział Fasail z taką samą lakonicznością i przełączył się na odbiór. Nickno nie cieszył się jego sympatią. Z nutką niechęci w głosie, bowiem Nickno nie cieszył się jego sympatią, i nadał sygnał ostrzegawczy. Jego własne siły ponadzmysłowe — „psi" — były za słabe na komunikowanie się bezpośrednie, lecz meduzy miały je wzmocnić po rozbudzeniu.

— Monitorowaliśmy rozmowę i chronimy się do jaj — rozległ się głos Brzuchacza w umyśle Fasaila. — Proszę łaskawie chwileczkę zaczekać. Galaretka jest już w środku, zamykam właśnie drzwi. Jesteśmy bezpieczni, proszę kontynuować bez troszczenia się o nas. I jeszcze raz błagam, by nam wybaczono kłopot, jaki...

— W porządku, w porządku — nadał ze złością Fasail. Sinkannatatatianie byli najuprzejmiejszymi we wszechświecie inteligencjami, przekonanymi zawsze, że kogoś obraziły i zawsze za coś przepraszającymi. Po pewnym czasie uprzejmość ta stawała się nużąca. Jeżeli jednak musiał już znosić bliskość obcych inteligencji, Fasail wolał te dwie meduzy od większości innych stworzeń. Nawet kiedy sobie przypomniał, że instalacja metalowych jaj dla ochrony kulistych ciał meduz opóźniła odlot z Arkturusa o trzy dni, i że ich badania naukowe były przyczyną jeszcze dalszych opóźnień na Sinkannatatat,

Meduzy zabezpieczone — powiedział głośno do Nickno i zapiął swój pas ochronny. Jego pulchne ciało niezbyt dobrze znosiło nacisk lądowań grawitacyjnych.

Nickno skinął głową i łagodnie zaczął obniżać lot pocisku. Stara planeta Wielkiej Mgławicy Magellana, nad którą się właśnie znajdowali, nie miała atmosfery, posuwali się więc z łatwością za okrętem Seffinna w kierunku jej żony słonecznej. Wkrótce ujrzeli sztuczne słońce — małe, lecz jaskrawe wisiało na pułapie około mili ponad najwyższą wieżą miasta. Flotylla podeszła do lądowania w samym centrum metropolii, stanowiącym otwartą przestrzeń. Reszta okrętów, wszystkie małe krążowniki, wylądowały za nimi, każdy na wyznaczonej sobie na siatce pozycji.

— Przypominam, że zgodnie z porozumieniem wypracowanym wspólnie przez nasze rządy, pozostanę na okręcie, podczas gdy wy, dziewięćdziesiąt osiem osobników, przeprowadzać będziecie badania — oznajmił głos Seffinna. — Przypominam też, że wyniki badań mają mi być komunikowane każdego wieczoru. Jeśli jakieś dane wyglądać będą obiecująco, skorzystam z upoważnienia i wyznaczę wybrany przez siebie zespół do zadań specjalnie określonych. Pod koniec trzeciej galaktycznej odbędzie się konferencja wszystkich zespołów. Nie muszę chyba nikomu przypominać, że każdy zespół otrzymuje kompilacje wszystkich danych zanim opuścimy planetę. Teraz proszę przystąpić do powierzonych sobie zadań. Życzę wszystkim pomyślnych zmiennych.

Wewnątrz statku obsługiwanego przez załogę ludzką rozsunęły się drzwi przedziału i do kabiny wtoczyły się Galaretka z Brzuchaczem. Sinkannatatatianie poruszali się po ładzie, przelewając w regularnych odstępach czasu wodę w skórze, co właśnie powodowało ów toczysty ruch całego ciała. Jedynym nieprzenikliwym składnikiem ich półpłynnych organizmów była skóra, twardsza od ludzkiej, ale nieodporna na przedmioty ostre. Rozumne meduzy potrafiły ją na żądanie ścieśniać i zgrubiać, co im się niezmiernie przydawało w okolicznościach, gdy musiały opuszczać swój wodny żywioł. Było wątpliwe, czy meduzy mogły w ogóle w jakiś sposób przyczynić się do badań — chodziło tu przecież o kontakt z przedmiotami fizycznymi, do czego nieruchliwe meduzy nie bardzo się nadawały. Ale galaktyka dysponowała zaledwie pięć dziesięcioma inteligencjami i trudno było meduzy tak sobie po prostu wyłączyć.

Przygotowując się z Fasailem do wyjścia, Nickno przyłapał się na myśli, że i większość pozostałych czterdziestu ośmiu inteligencji lepiej by zrobiła siedząc w domu. Tylko dziesięć z nich odkryło — bez pomocy człowieka — napęd galaktyczny, choć przyznać trzeba, że wszystkie z wyjątkiem meduz udoskonaliły technikę podróży międzyplanetarnych. Wiele z nich korzystało ze zdobyczy istot najbardziej rozwiniętych, uzyskując wiedzę techniczną w zamian za usługi i towary. Niemniej, w ekspedycji tego rodzaju nie można było z góry przewidzieć, kto okaże się niepotrzebny. Wyjątkiem był tylko Fasail. Do czego — o ciemności galaktyczna! — przydać się mógł on, artysta? Dlaczego wybrano Fasaila a nie, powiedzmy, autentycznego naukowca — zastanawiał się Nickno. Wypowiadając na głos swoje myśli, zakładał kombinezon i sprawdzał radio.

Fasail był na odbiorze, więc westchnął ze znużeniem i powiedział:

— Wysłano mnie tu, drogi kolego, bym rozwiązał problem, którego ty nie potrafisz rozwiązać. Nie zapominaj, że mieszkańcy tej planety, kimkolwiek byli, używali swej wiedzy technicznej dla tworzenia dzieł sztuki, a nie fabrykowania zabawek mechanicznych. Może to mieć dla mnie większy niż dla ciebie sens.

— Byłby to rzeczywiście żart tysiąclecia — odparł krótko Nickno i otworzył drzwi prowadzące do komory powietrznej.

Cała czwórka wyszła rzędem z okrętu. Fasail i Nickno przyglądali się w milczeniu mnogości wież miejskich, meduzy chłonęły krajobraz w stopniu, w jakim pozwalała im na to ponadzmysłowa percepcja „psi". Słońce — robot, wiszące na pułapie dwu mil,

ROMAN ŁOBODA

Co słychać w dramaturgii łódzkiej?

„Piąty lot" jest drugą — po „Bereziakach" — sztuką łódzkiego autora graną w łódzkim sezonie teatralnym 67/68. Prapremierę „Bereziaków" miałem już okazję omówić na łamach „Odgłosów", przypomnę tylko, że był to spektakl wartościowy, a na tle współczesnej dramaturgii krajowej wyróżniający się ambitną, nie łatwą problematyką oraz lapidarną i plastyczną inscenizacją. „Piąty lot" jest sztuką, której zamysł raczej nie z pasji dramaturgicznego przekazania realiów godnych artystycznego utrwalenia powstał, lecz gwoli rozegrania na kanwie tych realiów spraw o charakterze filozoficzno-moralnym. Jakież to są sprawy?

Z wypowiedzi autora zawartych w programie Państwowego Teatru Nowego wynikałoby z grubsza, że tezą sztuki jest problem: człowiek — a maszyna; albo raczej odwrotnie: maszyna — a człowiek, bowiem Orłowski sygnalizuje niebezpieczeństwo, które wyrasta z zarysowującej się przewagi rozwoju cywilizacji nad rozwojem kultury. Autor nie jest pierwszym ani ostatnim w swoich obawach. Istotnie, brak równowagi w tym względzie, to przede wszystkim rezygnacja z jednych wartości na rzecz innych.

Oczywiście nie bardzo wiemy, co może przynieść światu „geometryczny" postęp cywilizacji oraz równocześnie poszerzająca się w społeczeństwach wiedza techniczna. Nie do pogardzenia są wartości nauk ścisłych oraz ich wpływ w traktowaniu zjawisk społecznych.

„Zimna" logika i matematyczny system wartościowania dawał niekiedy zbawienne efekty w życiu zbiorowym. Były to jednak czasy, w których humanizm — niezależnie od jego skutków społecznych — ważył co najmniej tyle co cywilizacja. Postęp techniczny w najprostszych swoich funkcjach ma służyć jednostkom, ma im ułatwiać bytowanie w coraz bardziej zagęszczonych i skomplikowanych warunkach ziemskich. Z jednej strony będąc niejako społecznym przymusem jest z drugiej pasją twórczą, wywodzącą się z najgłębszych warstw humanizmu ludzkiego. Pasja ta już co najmniej od czasów Leonarda da Vinci próbowała marzenia o locie, o oderwaniu się od Ziemi, realizować.

Jakkolwiek tego rodzaju pasja jest udziałem niewielkiej grupy uczonych i realizatorów, to jednak jej skutki społeczne są bardzo szerokie.

Kultura, myśl humanistyczna, piękne i szlachetne uczucia, to busola, bez której postęp nie miałby szans przetrwania burz historycznych, bowiem obróciłby się przeciwko człowiekowi i jego marzeniom o szczęściu.

Obawy przed nadmiernym i zbyt szybkim rozwojem cywilizacji nie powinny być w zasadzie negacją tego rozwoju. Rozwoju cywilizacji nie powstrzyma żadna negacja. Obawę może budzić zarysowująca się „atrofia" humanizmu na świecie — tej busoli, której brak może spowodować ogólną katastrofę, jeżeli „zimny" rachunek prawdopodobieństwa zawiedzie. A jeżeli nie zawiedzie?

Być może wtedy nasze pojęcia o pięknie i szczęściu okażą się naiwnymi prehistorycznymi mrzonkami, które w sposób logiczny, dobrotliwy a humorystyczny będzie mogła wykazać maszyna myśląca, nie ulegająca żadnym wzruszeniom.

Autor „Piątego lotu" Władysław Orłowski zajmuje się w swej sztuce sprawami z których dość trudno wysnuć aż tak odległe wnioski.

Trochę jakby doczepiony finał filozoficzno-pedagogiczny daje garść uogólnień korespondujących z zamierzoną tezą.

Samo jądro dramaturgiczne sztuki, to konflikt w określonych warunkach socjalnych, gdzie narzędziem pracy jest maszyna — samolot.

W warstwie problemowej jest zawarte memento moralne: uwaga, człowiek!

W czwartym locie zginął człowiek. Znaliście warunki lotu, znaliście maszynę, lot był dobrze sterowany, a zginął człowiek.

Pada pytanie: czy znaliście człowieka?! Ex post zaczyna się poznawanie człowieka. Dialog w tej materii jest ostry i żywy, miejscami dowcipny. Jednak to czego się dowiadujemy o człowieku, jego życiu i śmierci z ust rozmówców, nigdy nie będzie tak wstrząsające jak w czasie działania się „na naszych oczach" tragedii. Dlatego Orłowski wprowadza retrospekcję, jest ona barwna i wyrazista, a mimo to, albo właśnie dlatego odstaje nieco swym realizmem od umownej dyskursywności zasadniczego dialogu.

Dialog bardzo interesująco przekazują widowni **Ludwik Benoit** (Janusz Stamirski — pułkownik) i **Andrzej May** (Andrzej Strzemień — kapitan). Inni artyści: **Barbara Gołębiewska** może zbyt wyzywająca w pierwszych kwestiach jako Elżbieta Koczarowa; **Jan Zdrojewski** (Franciszek Stateczny — major); **Bogdan Mikuć** (Wiktor Malecki — pomocnik — pilot); **Bogusław Mach** (Stefan Banach — pomocnik — pilot) — obaj porucznicy bardzo swobodni: **Aleksandra Krasoń** i w założeniu i realizacji sympatyczna Zuzia, **Franciszek Trzeciak** chronometrażysta — wszyscy stanowili dobrze dobrany i wyrównany zespół.

Głos **Wojciecha Pilarskiego** był głosem Koczara, tego który nie odbył piątego lotu, gdyż zginął w czwartym. Zupełnie więc zrozumiałe, że został bohaterem, jak również, że cieleśnie nie wystąpił w sztuce. Takie bywa życie, a sztuka jest życiem.

Scenografia **Henri Poulaina** pomysłowa, stanowiła dobre tło zarówno dla kwestii refleksyjnych jak i retrospektywno - realistycznych.

Interesująca całość sprawnie wyreżyserowała **Krystyna Sznerr.**

Władysław Orłowski „Piąty lot", Teatr Nowy.

TELEOBIEKTYW

Spikerzy

Najrzadziej zaprzątamy sobie głowę sprawami codziennymi, których prawidłowe funkcjonowanie przyjmujemy niemal automatycznie. Dopiero jakiś niedowład czy niedociągnięcie, wytrąca nas ze stanu pozornego braku zainteresowania, wprawia w irytację.

Przykłady? Mogą być bardzo prościutkie. Choćby kran wodociągowy. Czy odkręcając go wiele razy dziennie, zastanawiamy się nad tym, jaką to my z nim mamy wygodę? Ledwo dotknąć i już płynie strużka czystej i chłodnej wody. Po prostu o tym nie myślimy. Ale niech no tylko z jakichś awaryjnych powodów odkręcony przez nas kran wyda bezsilne syczenie i nie dostarczy nam wody! Wtedy w zdenerwowaniu uzmysławiamy sobie całą użyteczność wodociągów.

Może nieładnie, że od kranu przejdę do sprawy spikerów telewizyjnych. Analogia mimo wszystko dość odległa. A jednak istnieje. Oglądana przez nas na co dzień twarz spikera przestaje właściwie absorbować naszą uwagę. Oczekujemy od niego w miły i prawidłowy sposób przekazanych informacji. Niemal go nie dostrzegamy. Znamy go zresztą na pamięć.

Czy można by więc określić spikera jako przyobleczony w ludzkie kształty... kanał informacyjny? Myślę, że w takim sformułowaniu posunęlibyśmy się zbyt daleko. Ale rozumowanie nasze nie byłoby całkiem absurdalne. Spiker spełnia rolę informatora, przerywnika, łącznika między pozycjami programowymi. Do tego właściwie sprowadza się jego racja bytu w telewizji.

Inny pogląd reprezentowała swego czasu, nie tyle w teorii, ile w praktyce spikerskiej, Irena Dziedzic. Przejawiała ona tendencję do wyolbrzymiania roli spikera. Uczynienia z niego jak gdyby gospodarza programu, czy sprzedawcy zachwalającego towar, który ma w swoim kramie. Od czasu do czasu mogło się to udawać, ale na co dzień traciło maniera.

Chyba nie tego więc oczekujemy od spikerów. I niezależnie od ich urody, wdzięku i innych walorów osobistych, oglądając od lat twarze Edyty Wojtczak, Jana Suzina, czy Eugeniusza Pacha, właściwie niemal przestajemy je dostrzegać. Chyba, że popularni spikerzy popełnią jakąś gafę, pomylą się w zapowiedzi, słowem wytrącą nas ze stanu zadowolenia.

Rzecz wydawałaby się paradoksalna, ale miara popularności spikerów jest właśnie faktem, że coraz mniej poświęcamy im uwagi. Ufamy im, przekonani jesteśmy, że swoją funkcję wykonują dobrze, a zatem przestajemy ich na co dzień egzaminować. Oglądamy ich z pewnym roztargnieniem i nawet zmiana kołnierzyka przez panią Edytę, zaledwie jest przez naszą świadomość rejestrowana.

W radiu, które posiada doświadczenia znacznie dłuższe od telewizji, już dawno zrozumiano, że idealny spiker to taki, który nie zwraca na siebie uwagi. Nie ten, delektujący się własnym głosem, celebrujący wypowiedź, ale właśnie taki, którego jedynym celem jest przekazanie informacji.

Myślę, że i w telewizji coraz lepiej rozumie się ten właśnie sens pracy spikera. Bywa, że przed niektórymi pozycjami programowymi w ogóle nie daje się zapowiedzi spikerskiej. Na przykład animowana czołówka Dziennika Telewizyjnego jest sama w sobie dostateczną informacją i nie potrzeba jej poprzedzać słowami: „Obecnie zobaczą państwo Dziennik Telewizyjny".

W świetle tego błędem często popełnianym przez ośrodki regionalne w Katowicach, Gdańsku i Poznaniu, jest ukazywanie się na ekranie spikerki tylko po to, by z mniej lub bardziej wdzięcznym uśmiechem oświadczyła: „Łączymy się z Interwizją". Czy nie jest to dublowanie informacji, która i tak w moment później możemy wyczytać z planszy firmowej Interwizji.

Jestem skłonny sądzić, że w przyszłości spiker telewizyjny nie będzie się ukazywał przed każdą pozycją programową. Zdawkowe zapowiedzi zastąpić mogą starannie przygotowane plansze, lub — jeszcze lepiej — animowane czołówki z nazwą kolejnej pozycji programu. Spikera należy rezerwować na wypowiedzi bardziej złożone, przekazywanie telewidzom komunikatów, omawianie programu dnia, czy wreszcie dla udzielania wyjaśnień w wypadkach awarii, czy niespodziewanych zmian programowych.

A propos awarii. To zdarzają się w telewizji dość często. Telewidzom należy się wtedy wyjaśnienie a nawet słowo przeproszenia. Przy tej okazji szczególnie nasze spikerki popełniają inny jaskrawy błąd. Kraszą takie przeprosiny uroczym uśmiechem, jak gdyby wierząc, że ten uśmiech jest dostateczną rekompensatą za, dajmy na to, przerwę w transmisji pasjonującego meczu sportowego. Może lepiej w takich razach, gdy spiker zachowa twarz poważną. Jest to bardziej uzasadnione psychologicznie. Bo czy na przykład powinniśmy się czarująco uśmiechać, gdy przepraszamy kogoś, komu z całej siły nadepnęliśmy na bolący odcisk?

Na zakończenie chciałbym wyjaśnić, że bynajmniej nie chcę być pomówiony o wrogi stosunek do naszych popularnych spikerów telewizyjnych. Chodziło mi tylko o próbę określenia ich miejsca w programie. Czasem bowiem zdradzają niezdrowe tendencje do dominowania nad nim, lub w pogoni za popularnością, zapominają o swej usługowej funkcji.

Władysław Orłowski

---

oświetlało miasto okrywając je całe, jak parasolem, potokiem promieni, ale tu i ówdzie widać było czarne wąwozy cieni. Okręty zaczęły wyładowywać swoje załogi. Z biorących udział w wyprawie największi rozmiarami byli Cyklopi — jednoocy, człekokształtni giganci, wysocy na czterdzieści stóp. Najmniejsze były osobniki zlepione w tysiącosobowy zespół symbiotyczny o kształcie melona z mackami. Na prawo od okrętu ludzi znajdowali się Regelianie, młoda i energiczna rasa antropoidów, która dopiero niedawno uzyskała wiedzę o napędzie galaktycznym i stała się częścią imperium. Za wiedzę tę nikomu nie zapłacili i o ich metodach handlowania krążyły nieprzyjemne opowieści. Reszta stanowiła naprawdę różnorodny asortyment — od ruchomych, wrażliwych roślin do istot o prawie ludzkim wyglądzie, lecz zgoła odmiennym, np. krzemowym, układzie genetycznym. To dopiero po raz drugi w historii galaktycznej wszystkie uznane inteligencje złączyły się we wspólnym przedsięwzięciu. Tak sobie wszakże wzajemnie nie ufały, że i tutaj nawet większość zespołów wolała pracować pojedynczo.

— Zostawimy was teraz samych — odezwał się w mózgach obu ludzi głos. — Ponieważ nie mamy narzędzi, Brzuchacz i ja poszukamy budynku zawierającego formy i będziemy starali się osiągnąć zrozumienie poprzez wchłanianie wrażeń artystycznych. Szczęśliwych zmiennych, drodzy koledzy!

— Wam także — nadał Nickno, nie mogąc powstrzymać się od wyrażenia uczuć sympatii dla przyjaznych meduz. — Szczęśliwych zmiennych! Potrzeba ich wam będzie, jeśli zamierzacie rozwiązać tajemnicę metodą wchłaniania.

Meduzy wyczuły drwinę w jego głosie, ale nie obraziły się. Potoczyły się jak dwa pięciostopowe globuski opustoszałym chodnikiem i za chwilę zniknęły we wnętrzu najbliższego budynku.

— A więc chodźmy — powiedział Nickno i ruszył w kierunku pobliskiego gmachu, którym, jak zauważył, nikt inny się nie interesował. Uzgodnili uprzednio, że badania zaczną od budowli zawierającej wszystkie trzy znane przejawy zjawiska energii: maszyny nadawcze z formacjami energii widocznymi od zewnątrz, nadajniki bez formacji oraz formacje energii, które transmitorów nigdy nie potrzebowały.

Okazało się, że pierwszy budynek założeniom tym nie odpowiadał, ponieważ nie było w nim w ogóle żadnego śladu energii. Po krótkiej naradzie udali się do następnego gmachu, leżącego na linii promienia wyprowadzonego z centrum otwartego kręgu tuż poza nimi. Miasto zbudowane było w kształcie koncentrycznych kół, z których środkowe stanowiło pustą przestrzeń, gdzie wylądowała ekspedycja, i liczyło ponad dziesięć tysięcy budynków w większości ponad milę wysokich. Formacje energii były zjawiskiem częstym. Stwierdzono to w wyniku obserwacji poczynionych przez pierwszy statek eksploracyjny.

Kapitan zdawał sobie sprawę z wagi odkrycia i doniósł o tym natychmiast sztabowi. Agolianie, bo oni stanowili załogę tego statku, zadecydowali z właściwą sobie uczciwością, że było to odkrycie zbyt ważne, by mogła się nim zająć ich mała grupka; zainstalowali też na planecie ładunek wybuchowy, który wystarczał, by ją zredukować do atomów w przypadku, gdyby jakiś nieupoważniony statek na niej wylądował. Potem, już wraz z resztą floty galaktycznej, zakończyli wstępne badania Wielkiej Mgławicy Magellana i wrócili do swej galaktyki. Agoliański kapitan, który był tegim naukowcem, rozpoznał, co zawierały budowle odnalezionego na wymarłej planecie wyludnionego miasta. Żaden ze światów galaktyki nie potrafił się bowiem wykazać osiągnięciem tak wspaniałym jak tworzenie form czystej energii, form posiadających wszystkie znane właściwości materii, lecz w rzeczywistości nie istniejących. Najbardziej zdumiewał wszystkich użytek, na jaki nieznani naukowcy obrócili swoje niezrównane osiągnięcia i to właśnie było przyczyną, dla której kompanem Nickno w tej wyprawie był Faisal, członek klasy artystów. Nieznani naukowcy odkrycia swoje bowiem wykorzystali na tworzenie form sztuki.

Posiadłszy kontrolę nad całym znanym wszechświatem w stopniu, o jakim marzyć nawet nie mogła żadna inna inteligencja, użyli ją dla tworzenia sztuki. Formy wyrazu, jakie dla tego celu wynaleźli, zawierały w sobie przedziwne i przemożne piękno, niesamowite wprost bogactwo kolorów i kształtów, wręcz niewyobrażalne dla kogoś, kto nie był artystą. Niektóre z olbrzymich gmachów wydrążone były tak, że zostały z nich tylko fasady — wnętrza wypełniały pojedyncze tylko formacje. Inne zawierały całą mozaikę drobniutkich i przejmująco pięknych kompozycji o nieskończonej wprost rozmaitości. W niektórych opustoszałe miejsca przy transmitorach świadczyły, że formacje energii niegdyś tam istniały, ale teraz nie pozostał po nich nawet ślad. To właśnie jedną z takich nie działających już maszyn pragnął dostać w swoje ręce Nickno, by ją dokładnie i do reszty „wybadać". Maszyna, która potrafi tworzyć energię, przekazywać oraz przetwarzać ją w nieśmiertelne kształty zgodnie z zamysłem twórcy — był to wynalazek usuwający w cień wszystko, co sobie dotychczas wyobrażano.

Zdobycie tej tajemnicy przez jedną tylko z inteligencji oznaczałoby niemal automatycznie panowanie nad resztą galaktyki. Sposób, w jaki zorganizowano tę właśnie drugą ekspedycję, miał tej możliwości zapobiegać. W badaniu brała udział każda znana we wszechświecie inteligencja — mimo to obawiano się wciąż jeszcze, że ktoś skorzysta z okazji, by oszukać innych. Stąd właśnie brał się ten brak zaufania i wzajemna podejrzliwość.

Trzeci budynek, w którym znaleźli się Nickno i Fasail, odpowiadał wszelkim wymogom. Zbudowany był w kształcie dwu gigantycznych owali, jeden na szczycie drugiego. Dolny, większy owal otwarty był od góry do dołu; wypełniała go jedna olbrzymia i promienista figura, tak oślepiająca, iż oglądać ją można było tylko przez szkła ochronne. Górne jajo dzieliło się na kilka pięter zawierających tysiące drobniutkich form o niewyobrażalnej wprost różnorodności. Na wyższych piętrach jaja widać było wiele opustoszałych miejsc — transmitory stojące obok najwidoczniej przestały już działać.

Nickno i Fasail wspinali się na górę niemal w milczeniu, ale na ostatnim piętrze, gdzie jeden z transmitorów tworzył właśnie przepiękną figurkę, o rozmiarach mniej więcej dłoni ludzkiej, Nickno nie mógł powstrzymać się od wyrażenia zachwytu. — Czy zdajesz sobie sprawę, Fasail, że chociaż wymiar kompozycji jest tak zróżniczkowany, od niemal kolosalnych do niesłychanie drobniutkich, transmitory są mniej więcej takich samych rozmiarów? — powiedział.

— Jasne — odpowiedział niemal obojętnym głosem Fasail. — Artysta używa tych samych narzędzi bez względu na rozmiar dzieła, jakie tworzy.

Odpowiedź ta Nickno wyraźnie zirytowała. — Skoncentrujmy się lepiej nad problemem, jak się je tworzy. Popatrz, oto transmitor, który nie działa. Hm, ta pokrywka powinna się dać zdjąć bez większego trudu. Pomóż mi!

— Nie — powiedział Fasail.

Nickno w osłupieniu odstąpił kilka kroków od maszyny. — Jak to nie! Co to ma znaczyć? Musisz mi pomóc. Jak sobie inaczej wyobrażasz naszą współpracę? Na czym polegać ma moje zadanie?

— Na odczytywaniu polecenia, jakie nam tu zostawiono — odparł spokojnie Fasail. — Wiem, że nie jesteś artystą, ale czy naprawdę nie potrafisz pojąć znaczenia tej figurki, którą właśnie minąłeś? Przedstawia w tak oczywisty sposób poród, lub początek, jak chcesz, że nawet ty powinieneś się tego domyślić. Trafiło się nam naprawdę szczęśliwe odkrycie. Wydaje mi się, że artysta chciał tu przedstawić historię swojej rasy. Od początku aż do... do tego, co tu widzimy. Moim zamiarem jest odczytanie tej historii przez studiowanie tych figur. Dopóki nie zrozumiem jej zupełnie.

— Dopóki, dopóki... — gniew dławił niemal słowa Nickno. Po chwili z widocznym wysiłkiem opanował się i powiedział:

— Przełącz się, proszę, na osobiste.

Fasail spojrzał na niego w zniecierpliwieniu, lecz posłuchał. Od posłuchu chroniły ich maleńkie rozbijacze, zainstalowane w aparatach nadawczych. — Po co ta tajemniczość — zapytał.

— Jako twojemu przełożonemu powierzono mi informacje, których tyś nie otrzymał — powiedział Nickno. — Wiem, że usiłowano przekupić oficjalne czynniki agoliańskie, by uzyskać kontrolę nad bombą atomową, którą tu założono. Agent był podstawiony, ale Agolianie są pewni, że kryją się za tym jakieś intrygi rigeliańskie. Te Homary są na tyle głupie i niedowarzone, że gotowe są posłużyć się szantażem. Rezultatem może być katastrofa galaktyczna. Czy teraz już rozumiesz dlaczego masz mi pomagać?

— Nie. Byłem naukowcem zanim przeniesiono mnie na wyższy stopień. Nie wierzę, iż można dochodzić sensu poprzez wiwisekcję mechaniczną — powiedział Fasail.

— A ja studiowałem sztukę w szkole najwyższej i twierdzę, że jest wy

Dalszy ciąg na str. 8

JERZY WILMAŃSKI

Spojrzenie w twarz historii

W kinie nie bije się braw. Bo komu? Tym skrawkom celuloidu? Cieniom co przed chwilą zniknęły z białego kwadratu płótna? W sali kinowej brawa zabrzmiałyby pusto. Nie usłyszeliby ich realizatorzy, aktorzy... Gdyby jednak można, na filmie „Za waszą i naszą wolność" — klaskałbym.

Ale dla kogo byłyby te oklaski? Dla Rosjanina Machnacza i Polaka Perskiego, którzy skleili pasma filmów nakręconych przez innych? Dziś już może nieżyjących, bezimiennych frontowych operatorów Armii Czerwonej i Wojska Polskiego? Dla aktorów? W tym filmie nie było aktorów. Krasnoarmiejec w burej kufajce padający na wrocławski bruk — nie grał swojej śmierci. On naprawdę umierał i jeszcze dziś nad Wołgą czy Donem opłakują tą prawdziwą śmierć...

Współautor tego filmu reżyser Leonid Machnacz powiedział: „Historia jest znana — dziś trzeba spojrzeć w ludzkie twarze". Więc poszukano w radzieckich i polskich archiwach ostatniej wojny, wśród setek tysięcy metrów taśmy filmowej — poszukano ludzkich twarzy zapisanych na celuloidzie, twarzy mówiących o historii a może będących samą historią?

Wydaje się, że film dokumentalny przemawia zawsze z ogromną siłą. Mamy przecież świadomość, że to nie gra, nie opowieść — lecz życie. Nie szminka lecz krew...

Dokument prowadzonej przed ćwierćwieczem walki z faszyzmem za waszą i naszą wolność, nie ma — o paradoksie — nic z dokumentu — suchego protokołu, karty z cyfrą i literą... Jest właściwie kroniką ludzką, jest historią z twarzą płaczącej matki i uśmiechniętej „reguliruwszczycy" w błocie rozstajnych dróg.

Kto wie, może właśnie dlatego jest to film tak bardzo wstrząsający? Może właśnie w ten ludzki prosty sposób trzeba mówić o doświadczeniach, dramatach i patosie ostatniej wojny?

Z dyplomatyczną swadą peroruje z ekranu generał Sikorski, milczący Anders, tłum witających na moskiewskim lotnisku. Nagła zmiana sceny... libijska pustynia pod palącym słońcem, kolumny ciężkich Dodge'ów wiozą polskie wojska okrężną drogą do Polski. I ten ironiczny drogowskaz — „Warszawa — 11 tysięcy kilometrów".

Ale widzimy też inny drogowskaz na prostej i bliższej drodze do Polski. Oka — rzeka podobna do Wisły, namioty w sieleckim lesie i ta historyczna brama z napisem „Witaj żołnierzu — wczorajszy tułaczu"... Na trybunie Wanda Wasilewska, młodziutki ksiądz, generał (chyba wtedy jeszcze pułkownik) Berling i słychać słowa „ślubuję narodowi polskiemu..." Pobojowisko pod Lenino, wiatr hula po smoleńskiej drodze, czołgi, samoloty, smugi pocisków z katiusz.... generał Kosygin w rozmowie z generałem Świerczewskim pod drzewami polskiego już lasu, płaczące kobiety na ulicach Lublina, przemówienie Władysława Gomułki na lubelskim placu...

Twarze, twarze w kalejdoskopie historii i ten uparty leitmotiv wybuchów. A potem chwila retrospekcji — generał Walter — nieznane kadry z hiszpańskiej wojny domowej, „no pasaran" na ulicach Madrytu i znów Walter już w polskim mundurze, zupełnie inny niż na portretach — mówi coś do żołnierzy, uśmiecha się jakoś ciepło, po ludzku...

I znów skok skojarzeń — w polskie, kieleckie lasy, przystojny zadziorny „Mietek" — gen. Moczar spogląda z amatorskich fotografii... I znów leitmotiv ale inny. Raz, dwa, trzy — migają jak w kalejdoskopie zwały żelastwa, pogięta plątanina szyn, szkielety wagonów — z katalogu partyzanckiego czynu... „Dolinami i wzgórzami niosła się bojowa pieśń, idą polscy partyzanci..." — znów patrzymy w zbliżane na moment twarze chłopców z polskich równin. I tylko pozostaje jakby pretensją, żal, że ten piękny i jakże głęboko polski fragment zbrojnego czynu zbyt krótko, zbyt migawkowo potraktowano w filmie...

Ale oto już i Wał Pomorski, potem Breslau, Posen — odzyskują w terkocie broni maszynowej, huku bomb i świście katiusz swoje polskie imiona. Berlin płonący jak jeszcze niedawno Warszawa... Sztandar na Reichstagu, Brama Brandenburska spowita w mgłę pożarów...

Nie da się opowiedzieć tego filmu, bo nie da się opowiedzieć ogromu historii w lakonicznej relacji widza. W twarz Historii wyłaniającą się z dymów ostatniej wojny, zza zgliszcz Warszawy, z równin Smoleńszczyzny, z gaszczów kieleckich lasów, ze zbrojnego wysiłku Polaków i Rosjan — trzeba spojrzeć samemu. Dla dorosłych będzie to filmowa „powtórka z historii", dla młodych... Czym będzie dla młodych? Jeśli uświadomią sobie, że to nie film lecz życie, nie szminka lecz krew, nie pirotechnika lecz dynamit — może będzie to prawdziwa „lekcja wychowawcza".

Są w Warszawie i Moskwie groby, w których spoczywają Nieznani Żołnierze. Walczący o tą samą sprawę. Za waszą i naszą wolność. Kamera zbliża się do kutych krat, za którymi w perspektywie parku dziewczynka z warkoczykami gra w badmingtona, gdzie matki popychają modne wózki na wysokich kołach... Tak kończy się film. I tak zaczyna się życie w czasie pokoju.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Od najdawniejszych czasów ludzie żywią niezaspokojone pragnienie poznawania opowieści o niezwykłych przygodach, barwnych wojażach, miłosnych awanturach. Liczący 5 tysięcy lat sumeryjski mit o mężnym Gilgameszu, pieśń francuskich truwerów — „O Rolandzie rycerzu udałym", skandynawskie sagi, ruskie byliny, to przykłady odwiecznego kultu, jakim darzyli jednostki zuchwale nieprzeciętne, ludzie skromni, o życiorysach nie wykraczających poza wyznaczony epoką kompleks życiowych norm. W naszej współczesności błyskawiczny rozwój cywilizacji implikuje pojawianie się wciąż nowych reguł, kodeksów, praw, normujących życie społeczeństwa, które metaforycznie zobrazować można krótkim hasłem „Przechodzić przez ulicę, korzystając z miejsc wyznaczonych!" Brak zgody na akceptację rzeczywistości w jej powszedniej, szarej postaci, naturalna tęsknota za Nieznanym, a Niezwykłym to, jak sądzę, przyczyna ogromnego powodzenia przygodowych historyjek filmowych z serii „płaszcza i szpady". Oglądanie ich stanowi bowiem rodzaj ekspiacji za własne zwyczajne życie — w dwóch wymiarach ekranu przeżywamy barwną epopeję dzielności. Sezon letni jest szczególnie pomyślny dla nas — „kinowych łowców przygód" — otrzymaliśmy szereg barwnych pozycji repertuarowych, z „Piękną Angeliką", jako propozycją nr 1. „Piękna Angelika" jest drugą częścią poliptyku, opowiadającego o przygodach kuszącej awanturnicy z epoki Ludwika „Słońca". Pierwszą serię pt. „Markiza Angelika" mieliśmy możność oglądać przed niespełna rokiem, trzecią, ze względu na ogromną popularność bohaterki, zobaczymy zapewne już wkrótce. Reżyser Bernard Borderie, scenariusze swych filmów oparł na cyklu popularnych romansów historycznych pióra pary autorskiej Anne i Sege Golon. Ekranowe ich adaptacje, mimo iż mieszczą się całkowicie w ramach poetyki przygodowych serii z cyklu „płaszcza i szpady", posiadają jednak pewną osobliwość. Otóż, jakkolwiek film nie wyszedł poza szablon „dumasowski", reżyser pokusił się o ukazanie tego, co nazwać by można kolorytem epoki.

Niespokojna i malownicza epoka, znakomite tło dla awanturek uroczej i frywolnej Angeliki. Jest to następny model „la femme fatale", tym razem przybranej w historyczny kostium francuskiej markizy. Perypetie jej polegają głównie na wikłaniu w niebezpieczne sytuacje kochających ją mężczyzn — ona to staje się bezpośrednią przyczyną śmierci męża, młodego przywódcy bandy rozbójników, obiecującego ponoć poety-pamflecisty. Gdy z kolei usiłuje zdobyć serce i rękę swego sympatycznego kuzyna, z rezygnacją wyczekujemy wiadomości o jego rychłym a tajemniczym zgonie. Rzecz kończy się jednak optymistycznie, toteż pogrzeb uroczego lekkoducha obejrzymy zapewne w następnym odcinku przygód niebezpiecznej damy — w „Niezwyciężonej Angelice".

„ROZWÓD Z MIŁOŚCI", to bulwarowa komedyjka muzyczna „made in Hungary", z pozbawioną wdzięku pointą. Zapowiada się jednak jako duży sukces frekwencyjny — jest to jedna z ciekawszych penetracji obyczajowych kina demokratycznego, ilustrująca z pewną inwencją często ważkie zagadnienia ze sfery męsko-damskich kłopotów. Problemy płci są powszechne, toteż od lat stanowią inspirację geniuszów i grafomanów, stanowią także główny towar kina, odkąd ono istnieje.

I choć uparcie dowodzimy, iż w naszej zautomatyzowanej, zuniformizowanej współczesności, w atmosferze anonimowości i pośpiechu nie ma miejsca na egzaltację prywatnego życia emocjonalnego, jak za Owidiusza i Aretina, z lubością rozważamy na ekranie warianty relacji — „Kobieta i mężczyzna".

A więc kontemplujemy odcienie „Szczęścia", eksperymentujemy nad rodzajami „Niewierności", badamy niuanse instytucji małżeństwa, jego uwarunkowania etnologiczne („Małżeństwo po włosku"), psychologiczne („Małżeństwo z rozsądku"), czy ekonomiczne („Małżeństwo na niby"). Kusimy się nawet o sformułowanie „Poradnika matrymonialnego" czy odkrycie „Lekarstwa na miłość". I jeśli z objawami fascynacji śledzimy „Kobietę i mężczyznę", „Panie i panów", nie znaczy to wcale, że jesteśmy zauroczeni samym filmem, lecz ulegamy magii tematu. Fabułka naszego filmu jest zupełnie błaha: oto trzy panie, z których dwie nazwać można uroczymi, trzecią zaś dostojną, zamierzają rozstać się „na zawsze" ze swymi mężami — dwudziestolatkę nęci wolność, kobieta trzydziestoletnia jest oczywiście „niezrozumiana" (ponury ten stan genialnie określił Balzac), najstarsza z pań, pozwolą państwo, że tym razem wiek dyskretnie przemilczę, znudzona jest monotonią związku.

Reżyser opowiada o kobiecie bez mizogynicznego jadu, lecz śladem Rochefoucauld, Musseta, Wilde'a, znakomitych znawców kobiecej psychiki, z precyzją i wdziękiem.

Nie są to wprawdzie spostrzeżenia na miarę milenijną, lecz należą do tych truizmów, które swoją oczywistością mogą zbudzić refleksje.

„Rozwód z miłości" zrealizowany jest zręcznie, z niejakimi tylko usterkami w epilogu, gdy to sympatyczny dotychczas narrator usiłuje wyłożyć nam w dziesięć minut system porad na wszystkie erotyczne okazje. Czyni to ponad to w sposób właściwy leciwym piłom pedagogicznym, nudnie i w dobrej wierze, przez co tempo farsowego skeczu pod tytułem „Rozwiedźmy się", zamienia się w senny tok dydaktycznego wykładu.

Lecz kto wie czy mankamentu tego nie jest w stanie zrekompensować melodyjna i pikantna piosenka „na temat", finezyjnie interpretowana przez dawno nie słyszaną, a szkoda, Kalinę Jędrusik.

Przyznać trzeba, iż propozycja nowej formy komedii, jaką przedstawia węgierskie „nowe kino", jakkolwiek nie nazbyt wyrafinowana, nie jest także fiaskiem.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

Dalszy ciąg ze str. 7

kluczone, by można było dochodzić sensu poprzez wpatrywanie się w absolutnie obce formy sztuki — powiedział z gniewem w głosie Nickno. — Formy przeznaczone nie dla umysłu ludzkiego. Przestań się wygłupiać i weź się do roboty. W przeciwnym wypadku napiszę na ciebie taki raport, że już nigdy nie będziesz miał okazji do stworzenia jakiejkolwiek formy wyrazu.

Fasail z całkowitą obojętnością odwrócił się do niego tyłem i odszedł. Nickno zaklął. Szukając w kieszeniach kombinezonu narzędzi, podszedł do transmitora. Cóż za kretyn z tego Fasaila! Wszystko zależy teraz od niego, Nickno. Nawet najgłupszy członek klasy podziwiaczy, najliczniejszej i najmniejszej twórczej grupy ludzkiej, okazałby się tutaj bardziej pomocny niż ten artystyczny pięknoduch.

Fasail szedł teraz powoli wzdłuż ostatniego piętra, dochodząc wreszcie do serii pochyłni prowadzących na jeszcze wyższe poziomy. Poniżej górnego owalu znalazł to, czego szukał. Przez drzwi prowadzące z rampy do kilku punktów obserwacyjnych wyszedł na płaszczyznę, z której ogarnąć mógł wzrokiem całą olbrzymią figurę. Założył szkła ochronne i przez dłuższy czas przyglądał się jej gruntownie. Była okrągła i tak jasna i świetlista, że szczegóły zlewały się i zatracały. Oko ludzkie było narzędziem za słabym, by ją ogarnąć i prawdziwie rozpoznać. Nie przypominała mu niczego, chyba tylko wygasłą miniaturę gwiazdy. Fasail czuł, że tu właśnie tkwi sedno zagadki, lecz ogrom dzieła przytłaczał go raczej, niż pobudzał.

Rzucając spojrzeniem po raz ostatni przed zejściem z parteru na figurę poczuł, że w umyśle jawi mu się jakiś kształt, że figura jest częścią jakiegoś wyraźnego i zamierzonego wzoru. Uświadomił sobie, że może ów maleńki i przepiękny twór z najwyższego piętra i to płomieniste monstrum stanowiły dwa bieguny tego samego dzieła. Na myśl o tym ogarnęła go fala podniecenia. Jeżeli było to trafne przypuszczenie, kompozycja ta stanowiła odpowiedź wyjaśniającą zagadkę zniknięcia rasy twórców. Uderzyła go jeszcze inna myśl i popędził na szczyt budynku, przeklinając pochyłnie i żałując, że grawitowindy nie działały. Ciężko dysząc stanął w pobliżu Nickno i ogarnął wzrokiem całą salę. Wspiął się na pudło transmitora, by uzyskać lepsze pole widzenia. Serce podskoczyło mu pod gardło, gdyż nie zwracając uwagi na maszyny skupił ją na kompozycjach i podążył wzrokiem za przeczutym zarysem. Dostrzegł, że drobniutka figurka stanowiła w przybliżeniu środek olbrzymiej spirali splatających się kół — ostatni krąg opierał się o ścianę budynku i kończył się przy pochyłni, prowadzącej na najniższe piętro.

Zbyt podniecony by iść wolno, pognał ku drzwiom. Nickno, który zdjął pokrywę z transmitora i z fascynacją przyglądał się pozornie prostemu mechanizmowi, podążył za nim zdumionym wejrzeniem. Fasail pokłusował teraz rampą w dół, zatrzymał się na chwilę, by odmierzyć odległość, po czym pobiegł dalej kolistą galerią ciągnącą się wzdłuż szeregu figur najbliższych ściany. Zatoczywszy koło pojawił się na kręgu przylegającym do środka budynku i upewnił się, że był na dobrej drodze. Pomaszerował tedy prosto ku centrum gmachu. Zgodnie ze swoim przypuszczeniem odkrył, że nie było tam pochyłni, lecz tylko grawitowinda.

A więc to było aż tak proste! Wzór zaczynał się od maleńkiego arcydziełka na najwyższym piętrze, przechodził kołami wzdłuż kompozycji, z zewnętrznej strony kręgu na coraz to niższy poziom drugiego, kończąc się wreszcie w centrum budowli. Kulminacyjnym punktem tej wędrówki była owa oślepiająca, promienista gwiazda.

Miał już teraz wzór — formę wyrazu. Odkryć miał jego sens. Znalazł klucz do rozwiązania zagadki, ale przeszkód do pełnego jej rozwiązania było jeszcze mnóstwo; niemal jedna czwarta transmitorów nie działała.

Przebiegł szybko przez następną galerię i znalazł się na piętrze leżącym tuż ponad gigantyczną figurą. W drodze do centrum budowli, gdzie spodziewał się ujrzeć płonącą gwiazdę z lotu ptaka, a to dzięki temu, iż uświadomił sobie spiralny postęp form, zdał sobie sprawę z wielce dziwnego faktu. Był teraz na piętrze zawierającym dzieła powstałe bez działania transmitorów i to przejście od kompozycji transmitowanych do niezależnych było dziwnie nagłe. Na trzecim kręgu od centrum widział jeszcze transmitor tworzący figury. Cała pozostała część spirali i dwie wewnętrzne spirale zawierały już dzieła nie będące tworem transmitorów. Wynikałoby z tego — próbował sobie wytłumaczyć w myśli — że artysta, który zbliżał się do ukończenia swego dzieła, odkrył nagle sposób tworzenia trwałych form przy pomocy maszynerii przenośnej.

Starannie więc zbadał przestrzeń wokół kilku figur, lecz nigdzie nie odszukał żadnych śladów świadczących, że montowano tu kiedyś jakąś przenośną maszynerię. Najbardziej tajemniczy był fakt, że formy były w stanie kontynuować niejako swoją egzystencję, podczas gdy w setkach innych przypadków zanikały z chwilą, gdy transmitory przestawały działać. Zdumienie jego pogłębiał fakt, że formy stworzone — jak przypuszczał — metodą przenośną przetrwały.

Po dokładnym i ostatecznym sprawdzeniu upewnił się wreszcie, że wielka gwiazda w dolnym owalu była formą niezależną. Wzruszył ramionami i przestał o tym myśleć. Był to problem techniczny, którym zająć się miał bardziej od niego kompetentny w takich sprawach Nickno. Postanowił mu jednak na tę osobliwość zwrócić uwagę.

Siedzący wciąż na najwyższym piętrze Nickno przyglądał się w międzyczasie rozłożonym przed sobą prostym częściom składowym mechanizmu, które wydłubał wreszcie z transmitora. Siedział tak już od co najmniej pół jednostki czasowej, usiłując pojąć coś, co wydawało się najprostszym w świecie schematem naturalnego prawa kontroli energii, lecz tak przewyższało wiedzę każdej z ras zamieszkujących imperium, że zrozumienie tego graniczyło z niemożliwością. Mechanizm, który miał przed sobą, był pozornie tak prosty dla oka, że zdumieniem napełniała go jego własna niezdolność do objęcia mózgiem najprostszych nawet zasad i reguł, jakimi musiał się niewątpliwie kierować. Całość była dla niego absolutnie i całkowicie obca. A jednak musiało istnieć jakieś rozwiązanie! Skupił się więc ponownie, przyglądając się najprostszej zdawało się części, która uznał za źródło energii. Ach, gdyby tylko zdołał pojąć sens tych najprostszych części! Był ciągle zatopiony w rozważaniach, gdy wywołał go na ich prywatnym radio Fasail.

— Czy moglibyśmy już przerwać to patrzenie, Nickno? Skończyła mi się woda...

Nickno podniósł się ciężko, uświadamiając sobie nagle ogrom swego zmęczenia, oraz fakt, że i jemu skończyła się woda. Pił i połykał tabletki, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, chociaż wiedział, że wyczerpanie mózgu nie było dobrą i „naukową" metodą pracy. Gdy wyszli z budynku, idąc w kierunku okrętu, wywołał ich niecierpliwy głos Seffinna, włączającego się na grupową częstotliwość.

— Halo, halo, zwracam się do was, ludzi. Jesteście ostatni. Czy macie gotowy wieczorny raport? Proszę mi go natychmiast złożyć.

Raport złożył za nich obydwu Nickno. Nie wspomniał jednak o przekroczeniu dyscyplinarnym Fasaila; pominął też milczeniem jego próby rozwiązania zagadki metodą „odczytywania sztuki". Wysłuchawszy raportu, Seffinn oznajmił: — Nie mam nic przeciw waszej metodzie pracy, chcę wam jednak powiedzieć, że identyczną metodę przyjęło dokładnie czterdzieści jeden zespołów. Jeśli wpadniecie na coś bardziej obiecującego, nie wahajcie się użyć wyobraźni.

— Masz ci go — powiedział Nickno i wyłączył się. Jasne było, że i inne zespoły wybrały tę samą metodę pracy. Była to bowiem jedyna rozsądna metoda. Dla istot upośledzonych, nie dysponujących środkami technicznymi i narzędziami, kontemplacja była właściwa, i chyba jedynie możliwa, lecz jakie mogły być z niej owoce?

— No i jak ci poszło, Nickno? — zapytał Fasail, gdy zdjęli już kombinezony i zabrali się do przyrządzania posiłku.

— Odkryłem logiczny punkt wyjścia i rozpocząłem badania. To chyba więcej niż twoje patrzenie się.

— O, nie powiedziałbym, że więcej: Udało mi się odkryć początek i koniec — odparł z uśmiechem Fasail. — Muszę jednak przyznać, że wciąż jeszcze tajemnicą jest dla mnie to, co tkwi pośrodku.

Nickno nie odpowiedział, ale pomyślał sobie, że tajemnicy tej Fasail nigdy nie odgadnie, albowiem był artystą, a tu chodziło przecież o maszyny. Spożył posiłek i natychmiast położył się spać. Fasail wkrótce poszedł za przykładem kolegi, ale mimo zmęczenia długo jeszcze nie mógł zasnąć.

Po dwu dniach badań Nickno doszedł do wniosku, że zaczyna powoli pojmować sens transmitora, jeśli już nie zasady działania, to przynajmniej jego funkcje. Udało mu się rozłożyć mecha-

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

PAUL ELUARD

■ W związku z ukazaniem się kilka miesięcy temu albumu poświęconego poecie francuskiemu Eluardowi i ostatnio wydaniem dwóch tomów zebranych dzieł Eluarda, prasa francuska przypomina sylwetkę i twórczość tego pisarza, najbardziej subtelnego liryka współczesnej poezji francuskiej i najbardziej utalentowanego spośród nadrealistów. Paul Eluard (właściwe nazwisko: Eugène-Emil-Paul Grindel) urodził się 14 grudnia 1895 r. w Saint-Denis w rodzinie księgowego. W lipcu 1912 r. siedemnastoletni Paul Eluard zapada poważnie na gruźlicę i przebywa w sanatorium w Clavadel koło Davos. Tam pisze swoje pierwsze wiersze, tam też poznaje Helenę Dymitrowne Diakonową, nazywaną Galą, z którą się następnie ożeni. (Gala po rozejściu się z Eluardem została żoną Salvadora Dali).

W roku 1915 Paul Eluard zostaje zmobilizowany. Walczy na froncie, ale zatruty gazami bojowymi wraca do cywilu. Wojna wstrząsnęła poetą głęboko. Pisze antywojenne poematy, ma

Paul Eluard

lując okropność i okrucieństwo wojen. Po pierwszej wojnie światowej uczestniczy z początku w ruchu dadaistycznym, a następnie staje się jednym z najwybitniejszych surrealistów. Nienawidzi wojny, nienawidzi instytucji burżuazyjnych, a jego poezja nasyca się coraz bardziej problematyką społeczną, staje się politycznie zaangażowana. W roku 1942 Paul Eluard wstępuje do działającej wówczas w konspiracji, Francuskiej Partii Komunistycznej. Jest wybitnym pisarzem Ruchu Oporu. Pisze m. in. słynny poemat „Wolność".

W latach międzywojennych wydał kilkanaście tomów poezji. Po wojnie wydaje „Poematy polityczne" i dwutomową „Poezję nieprzerwaną". Trzykrotnie odwiedzał Polskę.

W 75 ROCZNICĘ URODZIN MAJAKOWSKIEGO

■ Z okazji 75-lecia urodzin Władimira Majakowskiego, poety-trybuna, odbyła się naukowa sesja w Instytucie Literatury Światowej im. A. M. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR. Tematami sesji było: „Poeta i socjalizm. O estetyce W. W. Majakowskiego".

•

Grupa pracowników naukowych Biblioteki — Muzeum W. W. Majakowskiego i Centralnego Państwowego Archiwum Literatury i Sztuki ZSRR zakończyła wieloletnią pracę nad trzytomowym dziełem pt. „W. W. Majakowski. Opracowanie materiałów dokumentalnych". Pierwsze dwa tomy zawierają rysunki, programy teatralne i afisze wykonane przez samego poetę. Do tomu

Władimir W. Majakowski

włączono też notatniki poety. Trzeci tom zawiera protokoły przesłuchań Majakowskiego i śledztwa carskiej ochrany. W tomie tym czytelnicy znajdą listy i fotografie, które dotąd nie były jeszcze publikowane.

TAM, GDZIE ŻYŁ BALZAC

■ W latach 1847—1850 Balzac przebywał we dworze pani Eweliny Hańskiej w Wierzchowni. Pracował tu nad swą „Komedią ludzką". W roku 1850 Balzac i pani Hańska wzięli ślub w kościele św. Barbary (dziś liczącym ponad 500 lat) w Berdyczowie, odległym o 60 kilometrów od Wierzchowni.

Obecnie naukowcy — konserwatorzy z Kijowa, po dokładnym zapoznaniu się z historią domu, w którym mieszkał Balzac, opracowali projekt prac konserwatorskich i przystąpili do restauracji budynku. Dom, w którym przebywał Balzac będzie wkrótce wyglądał tak samo, jak wówczas, gdy mieszkał w nim wielki pisarz. Swój dawny wygląd będzie miał też gabinet Balzaka, w którym przechowywane są książki z jego biblioteki, i gdzie znajdują się przedmioty należące niegdyś do powieściopisarza.

TURANGALILA

■ Ważnym wydarzeniem w paryskim życiu kulturalnym jest ostatnio widowisko baletowe Rolanda Petit. Balet ten został oparty na „Symfonii Turangalila", kompozytora Oliviera Messiaen. Symfonia i balet „Turangalila" nawiązują do motywów starodawnej legendy utrwalonej w języku sanskryckim. Recenzenci podkreślają niezwykły kunszt i oryginalność tańców. Głównymi postaciami „Turangalili" są mężczyzna oraz cztery kobiety pocjujące narzeczoną, żonę, kochankę i śmierć. Dekoracje do baletu wykonał Max Ernst. Dzięki zaś pokryciu podłogi niezwykle śliskim linoleum, uczestnicy baletu wykonują wiele figur tanecznych tak płynnymi ruchami, że widz ma wrażenie, iż tancerze poruszają się na tafli lodu lub w wielkim akwarium.

Na ogół recenzenci są zgodni, że „Turangalila" w paryskiej Operze jest widowiskiem niezmiernie interesującym i że Roland Petit dorównał w choreograficznym mistrzostwie sławnemu Bejartowi.

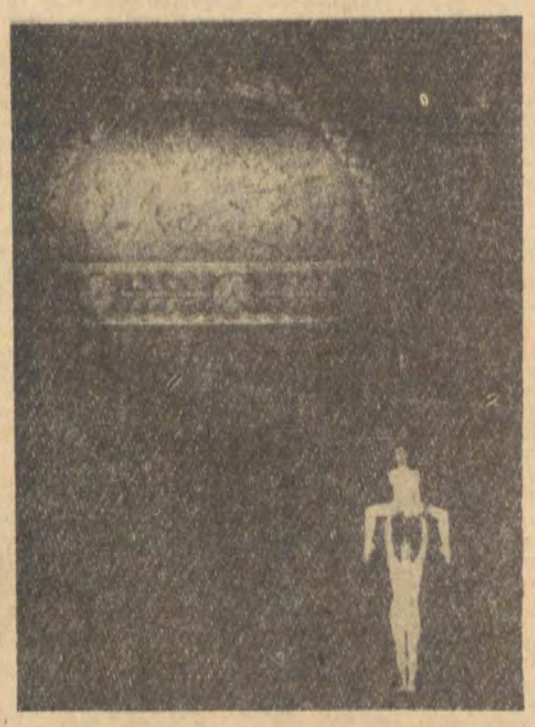

PARTENON W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

■ Słynna grecka marmurowa świątynia Ateny Partenos, Partenon, znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Świątynia ta, wzniesiona w stylu doryckim w V wieku p. n. e. przez Iktinosa i Kalikratesa, ozdobiona rzeźbami Fidiasza, niszczeje coraz bardziej i nie ratowana zamieni się wkrótce w zupełną ruinę.

Na początku bieżącego wieku restaurowano Partenon wstawiając żelazne sztaby i podpory. Żelazo jednak zardzewiało i co gorsza, rozszerzając się, powoduje pękanie marmuru. Podpory te należałoby zastąpić więc innymi materiałami, w każdym razie nierdzewnymi. Naukowcy poszukują materiału, który ochroniłby kamień od zniszczeń. Mówi się o użyciu drewna lub plastiku. Jest też projekt, aby posągi zastąpić kopiami, oryginalne zaś rzeźby zabezpieczyć w muzeum.

Sprawa ratowania Partenonu jest pilna i UNESCO przygotowuje się do wysłania do Aten misji ekspertów dla przestudiowania razem z greckimi uczonymi, najlepszych sposobów ratowania starożytnej budowli.

ALBERTO BEVILACQUA LAUREATEM NAGRODY „STREGA"

■ W Rzymie po raz dwudziesty drugi została przyznana nagroda literacka „Strega", mająca podobną rangę i znaczenie co nagroda Goncourtów we Francji.

Tegorocznym laureatem jest Alberto Bevilacqua za powieść pt. „L'Occhio del gatto" („Oko kota").

Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI

LIRYKA JANA BRZECHWY

Nazwisko Jana Brzechwy kojarzyło się przede wszystkim z twórczością dla dzieci. A przecież był to liryk w całym tego słowa znaczeniu — autor wielu tomów lirycznych wierszy, przesłoniętych aureolą popularności Pchły Szachrajki, Kaczki Dziwaczki i Pana Kleksa. Był piewcą radości i pogody w swoich wierszach dla dzieci — w swojej liryce uderzał — jak sam to określał — w ton minorowy.

W ostatnich miesiącach przed śmiercią Jan Brzechwa przygotowywał właśnie tom swoich wierszy lirycznych, który teraz dotarł do rąk czytelnika. „Liryka mego życia", taki tytuł nosi ta piękna w swej poetyckiej staroświecczyźnie książka, a otwiera ją smutny i ironiczny wiersz „Taktowne umieranie" — jeden z ostatnich wierszy poety, umierającego z całą świadomością swego umierania.

Wstrząsający to wiersz, wstrząsająca ta ironia i żart w obliczu własnej nieuchronnej śmierci. Ale poza garścią wierszy z ostatnich miesięcy życia Jana Brzechwy, tom zawiera przecież kilkaset stron poezji z lat dwudziestych i trzydziestych — poezji lirycznej w konwencjach określonej epoki, bliskiej skamandrytom i symbolistom. Dźwięczność i melodyjność, regularność metryczna — ten cały poetycki sztafaż, którego darmo dziś szukać w tomikach współczesnych poetów — wyznaczają granice poetyckiego świata zmarłego poety. I choć poetyckie konwencje, którym Brzechwa pozostał wierny, są dziś atakowane i rozbijane — warto wrócić do tych wierszy, bowiem ich nuta jest prosta, dźwięczna — i ludzka.

jw.

Jan Brzechwa „Liryka mego życia". Czytelnik 1968, cena zł 38.

„DZIESIĘĆ PALCÓW"

Z chilijską prozą polski czytelnik spotyka się nader rzadko. Chile kojarzy się przede wszystkim z Nerudą i poetką Mistral. A to niezbyt wiele.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" postanowiła uzupełnić naszą wiedzę o najmłodszej literaturze tego kraju, wydając niewielką książeczkę Mercedes Valdivieso pt. „Dziesięć palców", w przekładzie Mikołaja Bieszczadowskiego. Autorka, która dość szybko zdobyła uznanie krytyki i zajęła jedno z czołowych miejsc w rodzimej literaturze, napisała swoją pierwszą powieść w 1962 r. (La brechta). W rok później powstaje „Dziesięć palców", a w 1964 r. „Bambusowe oczy".

Opowieść „Dziesięć palców" jest historią kobiety, która przez całe życie starała się stworzyć mocny fundament pod budowę własnego rodu. Ale nie brała pod uwagę oczywistego faktu, że psychika dziecka nie może być kopią psychiki matki, że gdy tylko jej zabraknie, z całą siłą uzewnętrzni się odrębność charakterów i postaw. Wybuch namiętności był logiczną konsekwencją wieloletnich wyrzeczeń, posłuszeństwa, karności i ślepego podporządkowania rodzicielskiej władzy. Autorka drobiazgowo przedstawia rozpad rodziny, która początkowo wydawała się tworem absolutnie jednolitym. Ogromna fortuna, która trzeba podzielić wśród spadkobierców, staje się przyczyną zawiści, sprzeniewierzeń, zbrodni. Wśród zabiegów i intryg o majątek, postać zmarłej odchodzi na plan dalszy, odsuwa się z pola widzenia, w końcu znika zupełnie.

Takie jest prawo życia, prawo tych, którzy przychodzą po nas. I taka jest myśl przewodnia książki.

E. I.

Mercedes Valdivieso — „Dziesięć palców". Czytelnik. 1968 r. Str. 136. Cena 10 zł.

„GRY I ZABAWY"

Tytuł nowej książki Stanisława Kowalewskiego zwodzi czytelnika, który sięgając po nią, szuka rozrywki. Autor wcześniejszej „Podmiejskiej ballady" i „Godzin zwyciężonych", tym razem, na bohaterów kreował czterech mężczyzn, których łączy przyjaźń i podeszły już wiek. Kowalewski dość szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa kryjącego się w fakcie, że o starości pisało wielu, i to bardzo wybitnych twórców. Ograniczył się właściwie do drobiazgowego naszkicowania portretów ludzi starych, którzy usilnie starają się utrzymać swoje miejsce w społeczeństwie i wybrać z życia wszystko, co jeszcze dla nich dostępne. Oszukują się, starają nie dostrzegać zadyszki i choroby, udają, że wszystko jest w najlepszym porządku. Więcej nawet. Michał, wielki leśny samotnik, nawiązuje na krótko bliski kontakt z zaledwie siedemnastoletnią dziewczyną. Zapomina o dzielącej ich ogromnej różnicy wieku, i na chwilę wydaje mu się, że znów jest młody. Zwycięstwa starych ludzi są jednak króciutkie. Starość jest nieubłagana i w ostatecznym rozliczeniu przynosi większość porażek.

Sylwetki bohaterów, którzy to wracają do wspomnień, to oddalają się od nich, są bardzo wyraziste. Autor umiejętnie oddaje ich reakcje i sposób patrzenia, już z dystansu lat, na otaczające ich życie. I to jest największy atut książki, w której znajdzie się i kilka słabszych fragmentów. W sumie warto się z nią zapoznać, chociażby ze względu na własne refleksje o starości, które z pewnością przyjdą po lekturze.

B. M.

Stanisław Kowalewski — „Gry i zabawy", PIW. Warszawa 1968, stron 166, cena złotych 15.

---

nizm wedle faz działania, niektóre z części na składniki podstawowe. Ku swemu wielkiemu zadowoleniu udało mu się też udowodnić co najmniej jedno założenie teoretyczne: odkrył, że źródłem energii było dla transmitora słabe, lecz ciągle czynne pole magnetyczne planety. Był to dobry początek. Obserwując od czasu do czasu Fasaila musiał przyznać, że i on pracuje, choć osiągnięć nie miał dotąd żadnych. Zażywny artysta spędzał długie godziny na wpatrywaniu się w kompozycje, to siedząc, to spacerując wokół nich. Robił to jednak w milczeniu, niczego koledze nie komunikując.

Problem figur z drugiego piętra, które zostały powołane do życia i wciąż jeszcze trwały bez pomocy transmitorów, był zagadką, którą Nickno nie miał zamiaru zaprzątać sobie głowy. Przylecieli tu bowiem, by w sensie praktycznym wzbogacić wiedzę galaktyki w dziedzinie kontroli energii, a nie tworzyć na ten temat teorie. Teoria mogła sobie poczekać.

Trzeciego dnia po powrocie na okręt zastali tam Galaretkę i Brzuchacza, po raz pierwszy od owej chwili, kiedy pewne siebie istotki wyruszyły na „eksplorację terenu". Fasail uśmiechnął się na ich widok i nadał: — No co, udało się wam rozwiązać zagadkę, drodzy koledzy? Jeśli nie, będę wam mógł, być może, służyć pomocą.

— Nie, dziękujemy — nadała, przemawiając w imieniu obojga, Galaretka. W tonie jej „psychicznego" głosu zdawała się brzmieć leciutka nutka uśmiechu. — Szkoda tylko, że odpowiedź okaże się tak bezużyteczna dla Nickno i dla wielu z naszych tu przyjaciół.

Nickno, który nie dosłyszał transmisji Fasaila, spojrzał kwaśno na meduzy. — Znaleźliśmy okrągły budynek o średnicy wielokrotnie przewyższającej nasz statek — mówiła do nich cicho Galaretka. — Dokładnie pośrodku budowli unosiła się w powietrzu drobniutka forma energii, przypominająca kształtem miniaturową gwiazdę. Inne kompozycje, tkwiące na ścianach budowli, składały się na coś, co określić należałoby pojęciem fresku. Całość przedstawia historię rasy, od jej początku do śmierci... lub nieśmiertelności, bo to i tak można nazwać...

— Czy mam z tego wnosić, że wam trojgu udało się znaleźć pełną odpowiedź? — spytał Nickno, patrząc z niedowierzaniem na Fasaila i dwie cichutkie, skórzane globusy-meduzki.

— Jeżeli masz na myśli sposób, w jaki zbudowano transmitory, co było w istocie celem naszej tu podróży, to nie. Jeżeli jednak chciałbyś się dowiedzieć, co stało się z tą wielką rasą twórców i co pewnego dnia nam przypadnie w udziale, to mogę ci to wyjaśnić — powiedział Fasail.

— Proszę, jeśliś taki łaskawy — odpowiedział lodowato Nickno. Słowa Fasaila zrobiły na nim jednak duże wrażenie. Domyślał się, że Fasail i meduzy doszli w swoich badaniach do tych samych wniosków. Nim jednak Fasail zaczął, w aparacie odbiorczym zabrzmiał gniewny głos Seffinna: — Tu mówi Seffinn, przewodniczący Seffinn. Uwaga: wszystkie zespoły. Zwołuję przedwcześnie i natychmiast konferencję, ponieważ dopuszczono się wśród nas aktu zdrady. Zespół rigeliański wystartował i nie odpowiada na moje sygnały. Ponieważ jest jasne, że poziom ich inteligencji wyklucza możliwość, iż zdołali rozwiązać problem w tak krótkim czasie, należy założyć, że zabrali na okręt model transmitora !...

W tej samej chwili wysoko nad miastem rozległ się odgłos potężnego wybuchu, tak silnego, że aż zatrzęsły się wieże. Przez moment światło słońca-robota zgromniało, po czym płomienista jasność zbladła i zniknęła. Zapanowała cisza, którą przerwał głos Seffinna: — Nasi zdradzieccy towarzysze spotkali się widocznie z dobrze zasłużonym losem. Odkładam zapowiedzianą konferencję do jutra, zgodnie z pierwotnym planem. Raport o wszystkim sporządzę jednak zaraz w nadziei, że podziała on jako przykład odstraszający. To na wypadek, gdyby inny zespół nosił się z podobnymi zamiarami.

Nickno spojrzał na Fasaila, który podczas krótkiego komunikatu siedział w głębokim zamyśleniu. Zażywny artysta zmarszczył czoło i zamruczał coś pod nosem. — Skończeni głupcy — warknął bardziej do siebie, niż do towarzyszy.

— Ponieważ ich zdolności rozumienia były wielce ograniczone — odezwał się w mózgach ludzi głos Galaretki. — Wiedza w ich rękach byłaby niebezpieczna. Dobrze się stało, że zginęli.

— Tak absolutnie bez sensu — powiedział głośno Fasail. — Pozwól mi więc, drogi kolego, że ci wyjaśnię nasze odkrycie. Musisz jednak najpierw oddzielić swój umysł od konkretnych faktów i zacząć myśleć kategoriami ogólnymi. Nie powinno to być dla ciebie tak trudne, bowiem i ty sam w tym kierunku dążysz. Pierwszym pojęciem, o jakim musisz zapomnieć, jest pojęcie powszechnej entropii. Wszechświat nie wyczerpuje się, lecz tylko zmienia. Był i będzie. Jedyne możliwe zmiany zachodzą tylko wtedy, gdy w pewnych miejscach podstawowe cegiełki wszechświata, atomy wodoru, ścieśniają się w bardziej złożone formy. Zapomnij też o tym wszystkim, co ma związek z przepowiedniami o przeznaczeniu człowieka. Los wszystkich istot obdarzonych inteligencją jest jednakowy. Los ten dobiegł kresu dla ludzi zamieszkujących niegdyś tę planetę. To oni zaczęli ponownie cykl kosmosu. Nie myśl poza tym o życiu, jako o czymś wyjątkowym czy niezwykłym. Jest ono trwałą częścią wszechświata i spełnia swoją rolę. Po czwarte...

— Co to za zupełne i ostateczne bzdury — powiedział chłodno Nickno.

Fasail westchnął. — Może i bzdury — powiedział. — Spróbuję ci to wyjaśnić w inny sposób. Ta maleńka figurka na najwyższym piętrze badanej przez nas budowli przedstawia pierwszą iskrę życia na tej planecie. Te tysiące innych kompozycji opowiadają o rozwoju tego życia, o stopniowym, miliardy lat trwającym przekształcaniu tego życia w to, co nazywamy inteligencją. Z chwilą, gdy pojawiła się tu, na tej planecie, inteligencja, ludność świata gwałtownie wzrosła, co nie naruszyło jednak jego zasobów. Z przyczyn właściwych tej planecie, ludzie ją zamieszkujący nigdzie nie emigrowali. Stan zaludnienia wyrażał się w pewnym okresie — Fasail rzucił w kierunku, gdzie znajdowała się ich własna, jasno żarząca się galaktyka — cyfrą około stu miliardów. Osiągnęli to, co myśmy zdołali zdobyć zaledwie parę tysięcy lat temu — pełne zaspokojenie potrzeb. Podobnie jak my, zaczęli używać energii do tworzenia dzieł sztuki i zdobywania wiedzy dla samej wiedzy. W związaniu symbiotycznym nauki ze sztuką, osiągnęli granice wyrazu artystycznego — zaczęli tworzyć dzieła z samych już form energii. Zbliżali się też nieustannie do rozwiązania największej ze wszystkich tajemnic — znaczenia życia. I wreszcie ją odkryli. Odkryli ją, a raczej uświadomili sobie, że życie jest naturalną częścią cyklu kosmicznego. Że nie istnieje ani początek, ani koniec, że istnieje tylko zmiana. Moment przełomowy nastąpił wówczas, gdy nauczyli się wytwarzać mózgiem to, co uprzednio produkowali przy pomocy maszyn. Mam na myśli energię zamrożoną w półwieczne kształty. Stąd był już tylko krok do pełnego zrozumienia powszechnego cyklu — życia. Sądzę, że gdy tylko pierwsza inteligencja zrobiła to odkrycie, przekazała je błyskawicznie stu miliardom swoich towarzyszek.

Fasail zamilkł na chwilę i przyglądał się w zamyśleniu swojej własnej, rodzimej, kołującej spirali gwiazd. — Gdy zaczęła się wielka emigracja, niektórzy z mieszkańców tej planety pozostali, ryzykując tym dalszą niż inni wędrówkę w poszukiwaniu dostatecznej ilości wolnego wodoru. Chcieli może doprowadzić do końca swoje badania, zbyt głęboko być może przejęli się swoim zadaniem odkrywania tajemnicy za wszelką cenę. Nie wiem, czy winniśmy im być wdzięczni.

Zimny dreszcz przebiegł po ciele Nickno. Galaretka i Brzuchacz słuchali w milczeniu, nie przerywając myśli narratora, jak gdyby pragnąc potwierdzić prawdziwość jego słów.

— Widzę, że zaczynasz mnie rozumieć — ciągnął Fasail. Głos jego był łagodny i nie było w nim nawet cienia drwiny.

— Od zdolności władania nad materią samym umysłem, krok już tylko do tego, by umysł — istota świadoma siebie — sam stał się energią. I gdy umysł zamienił się w wolną energię, wykorzystał swoje suwerenne prawo do gromadzenia dalszej energii, do zaczęcia procesu rozwoju od nowa. Ale w galaktyce nie ma miejsca na rozwój. Sto miliardów ludzi wyruszyło stu miliardami szlaków, ale wszystkie z nich prowadziły w tym samym kierunku — ku najbliższej wolnej przestrzeni.

Fasail ponownie wyjrzał przez ekran. — Nie rozumiesz jeszcze, mój drogi Nickno? Wielka Mgławica Magellana jest dzieckiem Małej. Nasza galaktyka jest dzieckiem Wielkiej. Rację miałby ten, kto by powiedział, że tu, na tej planecie, każdy żywy człowiek począł — słońce.

The Harnam Dance Company of Poland

Tak właśnie naszych Harnamowców nazwano w programie Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego, który odbywał się 9 — 14 lipca w Llangollen, niewielkim miasteczku angielskim a ściśle mówiąc walijskim. Jest to festiwal tanecznych i wokalnych zespołów ludowych, w zasadzie — in crudo, kultywujących czystą formę pieśni i tańca ludowego. „Harnam", stylizujący te formy, został więc zaproszony nie do udziału w samym przeglądzie, lecz do występu w koncercie galowym, inaugurującym całą imprezę. Łodzianie odnieśli w Wielkiej Brytanii duży sukces, potwierdzony nawet przez rozgłośnię BBC, ale droga do tego sukcesu nie była usłana różami.

* * *

Przede wszystkim bowiem, była to droga długa i uciążliwa, odbywana na lądzie i morzu harnamowskim „Jelczem", który zresztą (zasługa to kierowców) zdał egzamin na piątkę, nie psując się ani razu. Wiodła przez Słubice, Magdeburg, Brukselę do Ostendy skąd Harnamowcy przeprawiali się promem przez Kanał La Manche. W Magdeburgu pierwszą przykrą niespodzianką była wiadomość, że nie mogą wymienić na marki polskich pieniędzy, choć w Polsce zapewniono ich, że będą mogli.

Prom z Ostendy odpływał 7 lipca o 17-ej. Na wszelki wypadek przyjechali o cztery godziny wcześniej i — tym razem mieli szczęście. Niedzielna frekwencja turystyczna była tak ogromna, że byli ostatnimi pasażerami wpuszczonymi na prom. Pod warunkiem, że w ciągu 10 minut obniżą swój autokar o 30 centymetrów, bo o tyle właśnie okazał się za wysoki. Bagaże 39 osób, kostiumy, rekwizyty, instrumenty, ulokowane na dachu były przeszkodą, na szczęście do pokonania.

* * *

W Anglii rozpoczęły się nowe kłopoty. Najpierw ruch lewostronny. Z „Jelcza" przystosowanego do ruchu prawostronnego trzeba było wysiadać na środek ruchliwych autostrad. Do Londynu przyjechali w poniedziałek o 8 rano, kiedy na ulicach panował największy ruch. Dwie godziny przebijali się przez miasto. Niemało było kłopotów i z angielskimi miarami długości. Na przykład na moście, pod którym mieli przejechać widnieje cyfra: 4. Ale co? Yardy, stopy, a może jeszcze coś innego? Ze zmagań z angielskim systemem monetarnym wynieśli jedną naukę: im większa i cięższa moneta tym mniejszą ma wartość. W tej chwili zresztą pojawiły się już w Wielkiej Brytanii pieniądze systemu dziesiętnego, co na razie zwiększa możliwość pomyłek dla niewtajemniczonych.

* * *

Z Londynu jechali do niewielkiego miasta w pobliżu Liverpoolu — St. Helens (nie 120 kilometrów, jak myśleli, lecz 120 mil, ta pomyłka opóźniła przyjazd), gdzie na 8 lipca zaplanowany był koncert polskiego zespołu. Miasteczko przemysłowe — górnicy i szklarze — osiągnęli je o godzinie 17, a o 19.30 rozpoczynał się występ. Przyjechali zmęczeni, głodni, niewyspani. Sami nie mają pojęcia w jaki sposób ten koncert tak się udał, oceniają go na jeden ze swoich najlepszych występów. Trwał dwie i pół godziny. Na widowni było sporo miejscowej Polonii, trochę się jej Harnamowcy bali, ale okazała się wdzięczna i sympatyczna. Po przedstawieniu rodacy przychodzili po autografy, a właściwie dedykacje i każdemu koniecznie trzeba było napisać coś innego. Czasem po kilka osób z jednej rodziny. Nawet dzieci, które mówią świetnie po polsku, co się w środowiskach polonijnych ostatnio coraz rzadziej zdarza. Było to dla zmęczonych artystów zajęcie nadzwyczaj uciążliwe, choć wzruszające.

— A w ogóle to nawet nie mieliśmy czasu, żeby z nimi porozmawiać — skarżą się. — Natychmiast po koncercie musieliśmy pakować się i jechać do Llangollen, gdzie następnego dnia rozpoczynał się Festiwal. I tak zajechaliśmy tam na 1 w nocy.

Kwatery otrzymali w domach prywatnych, w osiedlu robotniczym położonym obok Llangollen. Organizatorzy Festiwalu są bardzo dumni, że w tym roku nikt z uczestników nie musi mieszkać w hotelu. W ogóle gospodarze walijscy robią wszystko, by swej imprezie nadać jak największe znaczenie i splendor. Organizowane od 1954 roku festiwale zaprezentowały już 2 tysiące zespołów, z 50 krajów. W tegorocznym wystąpiły 23 narodowości. Jednym z celów przyświecających organizatorom jest, jak się wydaje, rozwinięcie rodzimego ruchu amatorskiego. Pierwszą sprawą, na jaką zwróciła uwagę miejscowa prasa („Western Mail") omawiając sukcesy naszego zespołu, był system finansowania, pomoc materialna, jakiej udziela „Harnamowi" Związek Włókniarzy. „Jeśli nasz ruch amatorski, mający stare tradycje, nie znajdzie patrona, umrze śmiercią naturalną" pisze „Western Mail".

* * *

Pomieszczenie festiwalowe jest rodzajem olbrzymiego namiotu, wyglądającego z lotu ptaka jak samolot — z wydłużonym kadłubem i dwoma skrzydłami. Ten „samolot" mieści 10 tysięcy osób. Wszystkie miejsca mają bardzo dobrą widzialność, a przy tych nielicznych, które mają widzialność nieco gorszą, umieszczono telewizory. Dla tych, którym nie udało się już kupić biletu, telewizory znajdują się również na zewnątrz pomieszczenia, w specjalnych wnękach chroniących od deszczu. Niezależnie od tego program jest transmitowany przez miejscową telewizję.

Estrada taneczna sprawia wrażenie istnego kwietnika. Cała tylna ściana tworzy barwny kwiatowy dywan tak samo zresztą jak ściana łącząca estradę z podłogą. To mieszkanki Llangollen dbają o kwiatową dekorację, przynoszą kwiaty ze swych ogródków i co dzień zmieniają na świeże.

Natomiast z kupnem kwiatów są duże trudności. Przedstawiciel polskiej ambasady (po raz pierwszy obecny na tej imprezie) który chciał polskim zwyczajem wręczyć łodzianom tradycyjną wiązankę (w Llangollen tego się nie praktykuje), nie mógł jej nigdzie kupić. Zdobył wreszcie jakimś jemu tylko znanym sposobem i Harnamowcy, po raz pierwszy w swej 20-letniej karierze — otrzymali pudło w rodzaju bombonierki, wyłożone białymi i czerwonymi gwoździkami.

Na koncert galowy zjawiło się pełne 10 tysięcy widzów, co zdziwiło nawet organizatorów. 9 lipca był tam trzecim dniem tegorocznego lata (to znaczy po raz trzeci tego lata świeciło w Llangollen słońce), a mimo to ludzie nie wyjechali na weekend. Koncert był dużym sukcesem łódzkiego zespołu, za kulisy przychodzili Anglicy i Polacy, którzy wyrażali słowa zachwytu i... oburzenia: co za idiota sprowadził was tu tylko na jeden koncert! Przecież w innych miastach też chcieliby was zobaczyć, jesteście u nas po raz pierwszy. „Idiota" — angielski impresario naszego zespołu tłumaczył się jak mógł pośpiechem i innymi okolicznościami, obiecał też, że nie jest to ostatni występ zespołu w Anglii, że będą tu jeszcze zaproszeni.

* * *

I tyle było Harnamowców na Festiwalu. Po koncercie wrócili jeszcze na noc do swoich kwater, a rano musieli opuszczać Llangollen, by ustąpić miejsca innym. Właściwie nie widzieli nawet festiwalowych występów, innych zespołów, choć bardzo chcieli, nie potrafią nic powiedzieć, o imprezie i jej poziomie. Ku swemu wielkiemu żalowi.

Ze swymi kwaterowymi gospodarzami obcowali krótko, ale serdecznie. Podejmowani byli nadzwyczaj gościnnie. Pierwszego wieczoru, a raczej pierwszej nocy, przy wspólnej kolacji nastąpiło poznanie, któremu nawet zbytnio nie przeszkodziły trudności językowe. Na drugą, pożegnalną, gospodarze pojawili się w strojach wizytowych, całymi rodzinami. Nasze dziewczęta, zadowolone ze swej przezorności, również zadały szyku wieczorowymi sukienkami. Mimo dalszych poważnych trudności w porozumiewaniu się, nastrój panował podobno bardzo wesoły, a większość dialogów prowadzona była na migi.

Rankiem, kiedy Harnamowcy zdążali do autokaru, odprowadzały ich całe rodziny, nawet z dziećmi w wózkach. Nastrój panował smutny, a poniektórym Walijkom łzy kapały z oczu. A swoją drogą jeśli tak żegnają wszystkich festiwalowych gości, to nic dziwnego, że w tym kraju klimat jest taki wilgotny.

* * *

W tym zawrotnym tempie podróży, właściwie nieustannej podróży, bo co dzień zmieniali miejscowość, nie zdążyli nawet podsumować wrażeń. Mało mieli czasu w ogóle, jeszcze mniej na spotkania z rodakami. Czasem na ulicach zaczepiały ich dzieci, podając kartki, na których było napisane: „masz papierosa, to daj". Kiedyś dziewczynka na rowerze przywiozła im kartkę: „Dwadzieścia lat nie paliłem polskich papierosów, jeśli macie to dajcie córce".

W drodze powrotnej, kiedy zatrzymali się w Kolonii i ze spaceru wrócili do samochodu, na szybie za wycieraczką znaleźli kartkę. Byli pewni, że to mandat za nieprawidłowe parkowanie, tak się zdarzyło w Londynie, ale kartka miała inną treść: „Kochani rodacy! Przechodziłem i zobaczyłem wasz samochód. Nie zastałem was ale to nie powód żebyście nie pozdrowili ode mnie ojczyzny. Przepraszam za błędy. Bolesław".

* * *

Powrotna droga zgotowała im niespodziankę w postaci „długiej fali" w Kanale La Manche. Nasi tancerze, wyćwiczeni w podskokach i piruetach, nie dali się pokonać, ale reszta pasażerów chorowała straszliwie. Nasi, dopiero w Kolonii, kiedy wysiedli z autokaru, poczuli, że się im w głowach kręci. Do kraju wracali szybciutko, żeby nareszcie odpocząć.

Tak zakończył się jeszcze jeden wyjazd zagraniczny „Harnama". Poświęcili nań 10 dni ze swego tegorocznego urlopu, choć raczej wątpię, żeby to był wypoczynek.

Notowała: T. W.

Lewym okiem

CO ON SOBIE WYOBRAŻAŁ?

Kiedyś Antoni Marczyński, autor ogromnie popularnych przed wojną powieści kryminalnych i brukowych, a także scenariuszy filmowych, wystąpił do sądu z oskarżeniem innego autora scenariusza o plagiat. W filmie Marczyńskiego istniała mianowicie scena, w której żołnierz nagle staje oko w oko z wrogiem, celującym weń z pistoletu; po chwili grozy okazuje się, że to trup poległego i zastygłego w takiej pozie żołnierza nieprzyjacielskiego. Zarzut plagiatu dotyczył faktu, że w innym filmie znalazła się scena podobna.

Idąc krok dalej można by powiedzieć, że jeśli w jakimś filmie pan pocałował panią w usta, to już nigdy więcej w żadnym filmie, nikt z nikim nie powinien się całować. Oczywiście — klęska dla wszystkich kinematografii świata.

Sprawę plagiatu w ogóle bardzo łatwo doprowadzić do absurdu. Granice pomiędzy przypadkową zbieżnością, wpływem, pokrewieństwem a przywłaszczeniem nie są możliwe do nakreślenia. Dlatego procesy, zahaczające o prawo autorskie, zawsze były pełne niespodzianek, pełne erudycyjnych popisów, sprzecznych wypowiedzi biegłych. Poczytajcie sobie „Warszawski Pitaval Literacki" Olgierda Missuny — opis kilku dawnych spraw tego typu, z takimi tuzami w rolach głównych jak Zapolska, Świętochowski, Boy, Lorentowicz, Miriam-Przesmycki. Prawie żadna z tych spraw nie skończyła się tak, jak by czytelnik oczekiwał.

Zagadnienie jest trudne, pełne zasadzek, ale jest i nie sposób go ignorować. Są przypadki jawnego gangsterstwa, żerowania na cudzym talencie, na cudzych dziełach. Dzieło sztuki, utwór literacki, obraz, wiersz — traktować można podobnie jak wynalazek. Przypisanie sobie cudzego wynalazku jest przecież niewątpliwie świństwem, nawet wtedy, kiedy cały zysk polega na sławie w kręgu przyjaciół. Świństwa takie się zdarzają.

Nie wiem, jak należałoby nazwać na przykład taki casus, jaki zdarzył mi się w Łodzi sporo lat temu: złożyłem maszynopis w pewnej redakcji. Był to artykuł, oparty na żmudnej pracy szperackiej w bibliotekach. Artykuł nie poszedł. Natomiast całe jego wielozdaniowe fragmenty zostały dosłownie przepisane (a może prościej: wycięte) i wmontowane zgrabnie w artykuł, podpisany i opublikowany przez kogoś innego. Czy to był plagiat? Jak dowieść, skoro mój maszynopis nie był nigdzie ogłoszony?

Albo jak nazwać niedawne zdarzenie łódzkie: ogłoszono konkurs poetycki, uczestnicy jak zwykle podpisywali swe utwory kryptonimami, w zamkniętych kopertach podając swe prawdziwe nazwiska. Jury sądząc wiersze, nie znało ich autorów, co zapewnia większą bezstronność ocen. Jeden z wierszy uznano za najlepszy, na przykład podpisany kryptonimem „Homer". Wtedy otworzono kopertę z napisem „Homer" i odczytano znajdujące się w środku nazwisko autora.

Odczytany uczestnik konkursu wstał, zebrał oklaski, zasiadł na honorowym miejscu podczas odnośnego bankietu. Wygłosił z przejęciem swój nagrodzony wiersz. Koleżanki laureata były dumne z takiej koneksji, koledzy dostawali kolek z zazdrości. Dwudniowe szczęście i sławę młodego poety zamąciło dopiero ujawnienie się prawdziwego autora nagrodzonego wiersza. Okazało się bowiem, że jury pomyliło jakieś koperty, co trochę dziwi, a trochę świadczy o wdzięcznej niefrasobliwości mężów, tamże zasiadających. Pomyłka ostatecznie ludzka rzecz. Ale fałszywy laureat wiedział przecież, że to pomyłka i że czyta wiersz niewłasny. Co on sobie właściwie wyobrażał?

Nie wiem, czy przechwko chorobliwie ambitnemu, naiwnemu, żądnemu za wszelką cenę rozgłosu młodzieńcowi zostanie wytoczony proces. Tym razem można chyba bez wątpliwości mówić o przywłaszczeniu, a także o świadomym wprowadzaniu w błąd, celem osiągnięcia korzyści osobistych. Czy jednak proces będzie czy nie — najdotkliwsza karę stanowi, jak zawsze w takich wypadkach, ośmieszenie. Czasem ośmieszają się obie strony naraz. Czasem atmosfera wokół sprawy jest taka, że sama twórczość artystyczna, psychologia twórców, ich osobowość zaczynają generalnie wyglądać odrobinę komicznie, tracą na prestiżu społecznym. Wówczas problem zaczyna być społecznie nieobojętny.

O czym szanowne środowisko pamiętać powinno.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2031. VII. 1968. P-13.